

W NUMERZE Kry-
zys mafii ■ Striptiz
nocnej rozrywki ■
Molier i fałszerze ■
Przekraczanie kina
■ Kran z ciepłą wo-
dą ■ Literatura ■ Re-
cenzje ■ Felietony ■
Magazynek 1 3

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 28 (1179) ROK XXIII

13 LIPCA 1980 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: R. Łucyszyn

SPOKOJNY UROK OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH

EUGENIUSZ
IWANICKI

ROZMOWA I.

— Było tu kiedyś wysypisko oraz pola gospodarstwa.
— Jakże tam pola, zwyczajny wygon dla kóz i tyle.
— A śmieci? Zwożono tu z Wielkopolskiej, Drewnowskiej, z Kasprzaka.
— Nieoficjalnie.
— I co z tego, że nieoficjalnie? Sył i tyle.
— Dziesięć lat temu tereny te wykupił „Pol-tex” i rozdał ludziom.
— Święta prawda: teraz jest tu kwitnący ogród.
— Małe pluce miasta.
— Bośmy własnym potem skropili tu każdy centymetr ziemi.
— Włożone tu pracy nie da się przeliczyć na żadne pieniądze.
— Mamy za to warzywa i owoce, po które nie musimy stawać w kolejce.
— Prawdę powiedziawszy, to te ogródki są naszym drugim domem.
Pracownicy Ogródków Działkowe robią karierę. Dziś nie ma miasta, które by nie posiadało własnych terenów, poszatkowanych wąskimi ścieżkami i upstrzonych kolorowymi domkami, otulonymi bujną, zieloną roślinnością. Ponoć co zamożniejsze wioski zaczynają także domagać się terenów rekreacyjnych, na których chcą budować altany. Posiadanie ogródka stało się modą, sposobem bycia, nieodzowną potrzebą dla rekreacji. Ale za tym wszystkim kryje się ekonomika. I to wcale nie jakieś tam złotówki czy tysiące złotych, lecz milionowe sumy spełniające określoną rolę w ogólnonarodowym budżecie. W granicach województwa miejskiego łódzkiego jest zarejestrowanych 120 samorządów pracowniczych ogródków działko-

wych obejmujących swoją działalnością 139 ogródków działkowych o łącznej powierzchni 668,2 ha, w których znajduje się ponad 14 tys. działek. Praktycznie nie ma chyba przedsiębiorstwa i instytucji, która nie ubiegaby się o przyznanie jej terenów pod uprawę.
Dla laika cyfry te są jedynie statystyką. W przekładzie na język codzienny, oznacza to, że trwały majątek Pracowniczych Ogródków Działkowych zamyka się kwotą około 56 mln zł, że wartość samych tylko materiałów budowlanych i przeznaczonych na cele konserwacji wynosi 1,5 mln zł, że tylko w ciągu ostatnich czterech lat przybyło miastu około 10 tys. drzew owocowych i 12 tys. krzewów owocowych nie licząc warzyw i kwiatów, że działkowicze przepracowali w czynnie społecznym na terenie naszego województwa prawie milion godzin wykonując prace wartości 20 mln złotych!

ROZMOWA II.

— Od czego państwo zaczynaliście? — pytam.
— Trzeba było wpięć usunąć gruz, wyrównać ziemię, wyrwać perz.
— Ziemia tu była jak kamień, nie dawała się.
— Najgorzej było z wodą: dowoziliśmy na wózkach dziecięcych, w bańkach, w czym kto miał.
— Z daleka?
— Z ulicy Zana. Niby nie tak daleko, ale jak ma się swoje lata, to wiadro waży podwójnie.

Dalszy ciąg na str. 5

Przy okazji procesów fałszerzy sprawozdawczości dręczyły mnie zawsze duże wątpliwości. Stawałem przed dylematem moralnym oceny ich postawy. Osobami zasiadającymi na ławie oskarżonych byli najczęściej dyrektorzy — ludzie mało ze nigdy poprzednio w kolizję z prawem nie wchodzący, ale mający wprost kryształowe życiorysy i nie kwestionowane, także przez sąd, ogromne zasługi położone w rozwój przedsiębiorstw, miast, województw.

Eywałem w sądach w różnych rejonach kraju, na różnych procesach: małwersantów, wampirów, zbrodniarzy hitlerowskich, które zostały najtrwalszy ślad w mojej psychice. Nie na nich jednak przeszedłem edukację społecznie zaangażowanego dziennikarstwa sądowego. Na procesach fałszerzy nauczyłem się wyważać racje, nabyłem umiejętność przeciwstawiania lub łączenia norm etyczno-moralnych i społecznych, nauczyłem się też rozpatrywania wszystkich spraw w kontekście kraju.

We wrześniu 1977 roku pojechałem do Braniewa, byłego powiatowego miasteczka leżącego

KRETA DROGĄ DO PRAWDY

WACŁAW
OPACKI

na północno-wschodnim krańcu Polski. Kilka miesięcy wcześniej został aresztowany dyrektor

Dalszy ciąg na str. 3

DOM NAD OLZĄ

TOMASZ
SOLDENHOFF

KORESPONDENCIA Z CSRS

Tuż za miejscem, gdzie krzyżują się drogi do Karwiny, Cieszyńska i Trzyńca, pojawia się nagle w wiejskim pejzażu sklepienie z dwujęzycznym szydem. Tu kończy się rdzeń Moraw, a zaczyna Śląsk, w którego krwioobiegu płynie polska domieszka.

W 30 kopalniach zagłębia ostrawsko-karwińskiego, siloczonych na niespełna 160 kilometrach kwadratowych, wydobywa się 80 proc. czechosłowackiego węgla, a kompleks wielkich hut tworzy filar ciężkiego przemysłu CSRS.

W regionie tym żyje i pracuje większość obywateli czeskich polskiego pochodzenia. Od 30 lat w tym środowisku działa Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Skupia on blisko 25 tysięcy osób.

Tradycje pracy oświatowej i kulturalnej wśród Polaków na Śląsku Cieszyńskim są stare. Jeszcze w początkach lat trzydziestych istniało tu 80 polskich szkół, 70 przedszkoli utrzymywanych przez Macierz Polską i prywatne gimnazjum w Orłowej. Do samych szkół podstawowych uczęszczało ponad 12 tysięcy dzieci. Część z tych placówek działa do dzisiaj, chlubiąc się swoją długą tradycją, np. upamiętnione jeszcze w 1937 roku gimnazjum czy — obchodzące w ubiegłym roku 50-lecie — przedszkole w Olbrachcicach.

Równie żywe i długoletnie są na Śląsku Cieszyńskim polskie tradycje kulturalne. Polski Związek Chórów istnieje tu 52 lata, a Polski Związek Literacko-Artystyczny — 40. W przyszłym roku swoje 60-lecie ob-

chodzić będzie jeden z wielu tutejszych chórów — „Siła” ze Stonawy. To niektóre fakty.

Polscy komuniści, kierowani przez Karola Sliwkę, wydawali przed II wojną w Karwinie „Głos Robotniczy”. Jego kontynuacją jest dziś „Głos Ludu” — organ KO KPCz w Ostrawie, a tradycje kulturalno-oświatowe rozwija PZKO, organizator majowego festiwalu, na który przyjechałem z Pragi do Trzyńca.

1

Wcześniej jednak — nim ulicami tego hutniczego miasta przemaszkuje barwny pochód — otwierają się polskie domy.

We Frysztacie — niegdyś stolicy powiatu, dzisiaj jednej z dzielnic mocno rozbudowującej się ostatnio Karwiny — mieszka Stanisław Kondziolka — prezes ZG PZKO, redaktor naczelný „Głosu Ludu”. Kondziolka, rodowity frysztaciak, snuje wspomnienia z dzieciństwa i pokazuje polską szkołę, która

Dalszy ciąg na str. 7

W związku z oddaniem do użytku nowego, 200-łóżkowego pawilonu onkologicznego przy Szpitalu im. Mikołaja Kopernika w Łodzi, redakcja poprosiła o rozmowę na temat rozwojowych perspektyw onkologii w Łodzi profesora dr hab. med. LESZKA WOŹNIAKA, prorektora Akademii Medycznej w Łodzi, kierownika Zakładu Onkologii tejże uczelni i zarazem koordynatora zakresu „Diagnostyka Chorób Nowotworowych” w Programie Rządowym nr 6 oraz doktora med. TADEUSZA NAGAŃSKIEGO, zastępcę dyrektora Zespołu Szpitala Wojewódzkiego d/s Onkologii i jednocześnie przewodniczącego Zespołu Specjalistów Wojewódzkich w zakresie onkologii w woje-

PROBLEM: ONKOLOGIA

wództwach: łódzkim, piotrkowskim, skierniewickim, sieradzkim i wrocławskim.

Dalszy ciąg na str. 4

KRAN Z CIEPŁĄ WODĄ

Rozmowa
z zastępcą
dyrektora
Zakładu Sieci
Ciepłej —
mgr inż. JERZYM
PIECHOTĄ

— Gazety codzienne doniosły, że od 15 lipca do końca sierpnia Widzew Wschód pozabawiony będzie ciepłej wody. Od kilku już lat w lipcu i sierpniu kolejna część miasta nie ma ciepłej wody. Tym razem jednak Widzew Wschód będzie pozabawiony ciepłej wody o dwa tygodnie dłużej. Dlaczego?

— Spowodowane to jest rozbudową EC-IV. Elektrociepłownia ta posiada dwa kotły wodne i dwa parowe do zasilania turbin. Teraz buduje się trzeci kotłowni wodny i dlatego EC-IV musi być przez dwa miesiące wyłączona.

— Powiedział pan: przez dwa miesiące. A Widzew Wschód nie będzie miał ciepłej wody tylko przez półtora miesiąca, a nie przez dwa.

— Bo teraz w lipcu, po remoncie magistrali, Widzew Wschód otrzyma ciepłą wodę przez dwa tygodnie z EC-I. Później EC-I też pójdzie do

remontu. A niestety Widzew tak się już rozrósł, że nie można tam dostarczać ciepłej wody ani z EC-III, ani z EC-II. W południowych rejonach miasta, tam, gdzie to możliwe, w lipcu ciepła woda docierać będzie jeszcze z EC-II. W sierpniu EC-II będzie wyłączona. Obecnie wyłączona jest EC-III.

— Przy takim systemie zaopatrywania miasta w ciepłą wodę niezbędne byłyby takie połączenia, aby poszczególne rejonu miasta mogły nieprzerwanie otrzymywać ciepłą wodę, jak nie z tego, to z innego źródła...

— Takie połączenia istnieją, ale są niewystarczające. Mamy ogromne opóźnienia w budowie magistral ciepłowniczych.

— Czy takie postoje, jak w tym roku z EC-IV powtórzą się w następnych latach?

— Obiecuję, że nie.

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg ze str. 1

Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego, także jego zastępca, główny księgowy i główny specjalista do spraw produkcji, człowiek powszechnie szanowany, osiągnący w pracy zawodowej jak i społecznej same sukcesy. Wielokrotnie odznaczony: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny Krzyż Zasługi, Medal za Umacnianie Obronności Kraju, odznaki: Zasłużonego Pracownika Rady Narodowej, Działacza Kultury, Związków Zawodowych Polskiego Czerwonego Krzyża.

Ludzie w Braniewie byli oburzeni postępowaniem organów ścigania. Jak można było go aresztować, przecież on dla siebie nie brał, za to dawał z siebie dla przedsiębiorstwa wszystko, doświadczenie, zdrowie i czas rodziny.

Prokurator wojewódzki w Elblągu sporządził akt oskarżenia, w którym dość wyraźnie precyzował zarzuty. Sprawa sięgała jeszcze roku 1975, a kończyła się po dwóch latach, co dowodzi dostatecznego kamuflażu tych przestępstw i czasochłonności ich wykrywania.

Jako dyrektor PBRol, od stycznia 1975 do września 1976 r., w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Braniewie (...) przekraczając swoje uprawnienia w zakresie prawidłowego gospodarowania, systematycznie zawyżał w sporządzanej przez siebie sprawozdawczości wartość wykonanej przez przedsiębiorstwo produkcji budowlano-montażowej, doprowadzając do niezgodnego ze stanem faktycznym zawyżenia tejże produkcji na kwotę 75 mln zł, przez co spowodował powstanie wielkiej szkody w gospodarce narodowej wyrażającej się w wypłaconiu pracownikom nienależnej premii i nagród o łącznej wysokości 250 tys. zł, przekroczeniu funduszu plac w związku z wykazaniem zawyżonej produkcji o kwotę 4 mln zł, a nadto powstanie straty bilansowej przedsiębiorstwa w wysokości 23 mln zł.

Rozmawiałem kilkakrotnie o tej sprawie z prokuratorem wojewódzkim w Elblągu — Antonim Dykowski. I zdecydowałem się o tej sprawie napisać — wbrew dotychczasowej swojej dziennikarskiej praktyce — zanim został wydany wyrok. Uważałem, że społeczna ranga sprawy jest wysoka.

Po ukazaniu się reportażu do redakcji jak i pod adres prywatny przyszło mnóstwo listów. Z jednej strony cieszyłem się z osiągnięcia za mierzonego celu: wzbudzenia społecznego rezonansu i zainteresowania sprawami sprawozdawczości, z drugiej nie kryłem moralnych obaw co do oceny mojego postępowania ze strony rodziny i mieszkańców miasta. Jeden z listów pochodził od córki oskarżonego. Pisała:

Jestem najstarszą i jedyną córką (...) i chyba jest zrozumiałe, że znam go bardzo dobrze. Dlatego zarzuty jakie mu są stawiane wydają mi się zupełnym nieporozumieniem i wielką omyłką sprawiedliwości. Wyjątkowo dużo czasu poświęcał pracy społecznej i zawodowej szczególnie, gdy został dyrektorem Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego w Braniewie, przez co zaniedbywał obowiązki rodzinne i domowe. Miał wiele propozycji wyjazdu do innych miast, aby objąć podobne stanowisko lub wyższe, jednak zrezygnował. Był zadowolony, gdy Braniewo i jego okolice odbudowywały się z ruin wojennych, a ludzie otrzymywali nowe mieszkania i z nowym zapałem szli do pracy. Ojciec był dla mnie wzorem do naśladowania, kierując się jego wskazówkami i radami i otrzymując pomoc materialną od niego skończyłam studia dziennikarskie.

Inne głosy mieszkańców Braniewa były podobne: wielka omyłka sprawa wiarygodności.

Jeden z listów przyszedł z Kielc. Redakcja go wydrukiwała. Jego autor, Adam Koprowski pisał:

Braniewski przykład nie jest odosobniony w organizacjach produkcyjnych budownictwa rolniczego. Główne mankamenty to stale rosnące koszty produkcyjne, wydłużające się cykle realizacji planowanych zadań inwestycyjnych dla gospodarki żywnościowej i rolnictwa. Primitywne tworzenie celowego bałaganu i chaosu w dokumentach nie jest niestety, wyłączną specjalnością budownictwa rolniczego. Dlatego dobrze się stało, że autor podjął w „Zimnym prysznicu dla braniewskiej dyrekcji” tę problematykę. Podobnego typu publikacje idą bowiem — moim zdaniem — w sukurs polityce partii i rządu, zmierzającej do likwidacji społeczno-ekonomicznych przyczyn wytworzenia się klimatów bezprawia w zakładach pracy, jak i kształtowania warunków pełnego zaangażowania twórczych sił narodu w rozwój kraju. Demaskowanie „rekwizytów” kuglarskich, które pozwalają w określonych warunkach ograbić uczciwie pracujących z wytworzonych przez nich dóbr jest — moim zdaniem — jednym z czynników kształtujących dyscyplinowanie społeczne.

Pojechałem jeszcze raz na proces trwający prawie pięć miesięcy, w sali sądowej posłuchałem świadków. Potem skierowałem kroki do zakładu karnego. Rozmawiałem jeszcze raz z szefem prokuratury, z przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Kontroli

Partijnej, wreszcie z I sekretarzem KW PZPR. Chciałem uchwycić miejsce wyników na pokaz w świadomości społecznej, przekonać się o ich incydentalności w procesie karnym wreszcie chciałem usłyszeć o wpływie na planowanie, demoralizację i rozluźnienie dyscypliny społecznej.

I sekretarz na końcu rozmowy powiedział mi:

— Ocenę postępowania zajął się sąd. W szeregach partii nie ma miejsca dla podobnych ludzi. Nie może być tolerancji i nigdy jej nie będzie w stosunku do tych, którzy podrywają zaufanie do partii. Komisja Kontroli Partijnej jest i będzie zawsze bezkompromisowa w swoim działaniu.

Usłyszałem wyrok sądu: trzy lata pozbawienia wolności.

Zapoznałem się z aktami podobnych spraw, umorzonych i zakończonych wyrokiem. I doszedłem do

Wszelkie sprawozdania zawierające nieprawdziwe informacje o wykonaniu planów zawsze należy oceniać jako społecznie szkodliwe. Jeżeli bowiem podstawą podejmowania decyzji gospodarczych mają być dane sprawozdawcze, to muszą one być przede wszystkim rzetelne, bo w przeciwnym razie decyzje podejmowane na podstawie zdezinformowanych informacji będą błędem.

Prześledziłem jedną z ostatnich spraw, jaka była rozpatrywana na wokandzie sądowej (skala przestępstwa dorównująca — chociaż dokładnie nie wiadomo, czy to koniec, bo wielka część dokumentacji po prostu zaginęła — fałszerstwu dokonanemu przed trzema laty przez kierownictwo Jeleżańskich Zakładów Samochodowy na sumę prawie jednego miliona złotych). Przestępstwo zostało wykryte w toku sondażowego badania rzetelności dokonanego przez

kladu, tylko pozostaje w depozycie na terenie „Azotu”, skąd według życzeń odbiorcy, czyli właściciela były wysyłane bezpośrednio do odbiorców. Mechanizm fałszowania — prosty i zakładał dwukrotne zaliczanie produktu do sprawozdań produkcyjnych Zakłady fakturowały swoje wyroby do depozytu dla „Chemikoloru”, by potem je odkupić z tego depozytu i ponownie do niego sprzedać. Z końcem roku 1976 z depozytami trzeba było skończyć, bowiem bank zagroził milionowymi karami za przechowywanie nadmiernych zapasów. Nakazał jednocześnie odkupić nadmierne zapasy eksportowe i krajowe do 30 czerwca 1977 r. Jednocześnie zjednoczenie całkowicie zabroniło sprzedaży depozytowej i zobowiązało przedsiębiorstwo dołączając do faktury list przewozowy PKP z datą zgodną z datą faktury — jako dowód wykonania sprzedaży. Postanowiono więc

najpierw znaleźć szyfr, zanim zasewuje się leki.

Dotychczasowa praktyka dowodzi, że fałszowanie statystyk gospodarczych zmierza do osiągnięcia różnych celów, m.in. majątkowych w postaci wyłudzenia nienależnej premii lub innego świadczenia materialnego, albo chęć uzyskania lepszej pozycji przez reprezentowaną jednostkę w skali zjednoczenia i resortu. Zdarza się też, że dyrektor wykona 115 proc. planu, ale podaje tylko 105 proc. wykonania w sprawozdaniu, a to tylko dlatego, że — jak myśli — w następnym roku dołożą mu tyle milionów ile przekroczył teraz. Znowu 105 proc. wykonania planu wystarcza, żeby dostać tak bardzo oczekiwaną premię. Podobnie, jeżeli ma wykonać tylko 95 proc. to nie opłaca mu się podawać tyle, a lepiej 100 proc., różnica zaś nadrobi się w pierwszych tygodniach następnego roku.

Taki charakter fałszowania najczęściej się spotyka w budownictwie. W tym sektorze gospodarczym spotyka się też najczęściej przypadki nakłaniania do fałszowania. Spotkałem niedawno starszego kolegę ze studiów. Jest kierownikiem poważnej budowy. Karty pracy swoim robotnikom regularnie zawiąza co miesiąc. I robi to z konieczności. Nikt go nie sprawdzi, bo roboty szybko ulegają tzw. zakryciu, ale za to ma spokojną atmosferę w pracy i przynajmniej robotnicy nie grożą mu, że się zwolnią.

— Jeśli rok kalendarzowy ma 12 miesięcy — mówi — budowlany gdzieś o trzy cztery miesiące dłuższy, to — gdyby tego nie robił — byłby o pół roku dłuższy.

Nadużywanie społecznego zaufania i społecznej kasy? — ależ nikt o tym nie mówi. I tak już jest. Nie jest temu w stanie przeciwdziałać, a ta bezradność za to mu pomaga.

Nierzetelność źródeł informacji statystycznej nie może być traktowana jako zjawisko nagminne, liczbą sprawozdań nieprawidłowych otrzymywanych w ostatnim roku zmniejszyła się — zdaniem prezesa GUS, prof. dr Stanisława Kuzińskiego — z 10 do 7 procent. Ale jest to orosłem. Ponieważ: co 7 informacja na 100 jest fałszywa. A może ta, na podstawie której ustalana będzie wielkość dostawy mięsa na rynek, czy eksportu energii, której potem w kraju zabraknie. Tak więc rutuje ona na funkcjonowanie organizacji planowania. Dobrze, jeżeli fałszywą informację otrzyma dyrektor zjednoczenia, gorzej jeżeli od ministra, dalej, przejdzie do szefa rządu, gdzie wprowadzi całkowitą dezorientację, tworząc optymistyczny obraz świetlanej przyszłości. O dalszych skutkach lepiej nie mówimy.

Zastępca prokuratora wojewódzkiego w Łodzi, mgr Jacek Rządowski: — W Łodzi w ostatnich latach poważniejszego przestępstwa fałszowania sprawozdawczości nie wykryto, na co ma wpływ także dobra działalność Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego. Natomiast w budownictwie zjawisko zaliczania produkcji na styku kwartału, czy roku na poprzedni — jest zjawiskiem częstym i występuje w skali całego kraju. Ostatnio spotykamy się też z częstymi przypadkami zaliczania produkcji wykonanej dla jednostek gospodarki uspołecznionej jako usług wykonanych dla ludności.

Dyrektor jednego z departamentów GUS: — Tylko w przypadkach poważniejszych sprawą zajmuje się prokuratura (od siebie dodajmy: wielomilionowych). Normalnie wnioski kierowane są do kolegium lub umarzane. A i wyroki — jeżeli trafiają akta oskarżenia do sądu — nie są zbyt surowe.

Zgodnie z art. 1 ustawy o organizacji statystyki państwowej, GUS kontroluje legalność prowadzenia sprawozdawczości statystycznej jak również terminowość, rzetelność i prawidłowość. Jest zawiązaną stadiem wywoławczym otwarcia postępowania. Ale: w ostatnich trzech latach — według dyrektora Departamentu Spraw Karnych Ministerstwa Sprawiedliwości, Józefa Mikosa: — Nie zanotowano ani jednego skazania z art. 22 ustawy z 15 lutego 1962 r. o organizacji statystyki państwowej, który przewiduje karę pozbawienia wolności do lat trzech dla pracownika organu administracji, instytucji lub przedsiębiorstwa państwowego czy społecznego, który składa sprawozdania statystyczne zawierające nieprawdziwe dane.

Nie jestem zwolennikiem zastraszania polityki penalizacyjnej państwa. Ale — uważam — oświada organów państwowych prawnie zobowiązanych do badania zgodności z normami prawnymi jest zbyt liberalna dla tego rodzaju przestępstw i wymaga radykalniejszych środków i kar. Patrząc w kontekście kraju: fałszowanie uderza w planowanie a więc w fundamentalną zasadę ustroju państwa. Wyroki, które zapadają — czy wcześniejsze postanowienia prokuratury o umorzeniu czy skierowaniu do kolegium — nie tylko nie spełniają wymagań prewencji ogólnej, ale i sprzyjają tworzeniu się klimatu społecznej akceptacji.

Przykłady wyżej.

KRĘTĄ DROGĄ DO PRAWDY

wniosku, który okrutną prawdziwością mnie samego zbulwersował: fałszowanie sprawozdawczości jest u nas nie tylko incydentalnym przedmiotem procesu karnego, stanowiąc najczęściej środek do popełnienia przestępstwa jak niegospodarność czy zagarnięcie mienia społecznego. Ale jest i rzadkim „gościem” w naszych salach sądowych, wbrew oczywistości powszechnego jego występowania. Rzadkość ta wynika z bardzo liberalnego traktowania fałszerzy przez wymiar sprawiedliwości, jak i organy ścigania, które już w toku postępowania przygotowawczego umarzają sprawę nie widząc po prostu możliwości ich ścigania w trybie karnym. Zobaczyłem, że najbardziej zwykle ostrze prokuratorów i sędziów przekonują argumenty powstania niezmiernie dużych trudności obiektywnych w realizacji podstawowych zadań planowych przedsiębiorstwa i konieczności fikcyjnego nadrobienia wykonania planu. Jakby nie mogąc zrozumieć, że branie tego za dobrą monetę nie wzmacnia dyscypliny społecznej, ale może stanowić parawan o wiele groźniejszych przestępstw, o których występowaniu nie przyjdzie w ogóle na myśl organom ścigania. Jeśli nawet powodem fałszowania informacji sprawozdawczości jest tylko organizacja pracy czy błędna polityka w zakresie wykorzystania surowców i materiałów, czy też błędna polityka zarządzania — nie przestania w ogóle niebezpiecznych skutków tej praktyki, wyrażających się wprost najczęściej w zmianie mentalności myślenia załogi, rozluźnieniu jej dyscypliny. Krótko: demoralizacji, której proces może stopniowo narastać.

A przecież już trzy lata temu Sąd Najwyższy podkreślił:

Departament Profilaktyki, Współpracy z Instytucjami Państwowymi i Organizacjami Społecznymi Prokuratury Generalnej.

Władysław Radko, dyrektor naczelny Zakładów Chemicznych „Organika-Azot” w Jaworznie, znany był z ogromnej pracowitości, energiczności i pomysłowości, która w ostatnich latach szczególnie zaowocowała, ale i zaprowadziła go na ławę oskarżonych. Dyrektorem został we wrześniu 1976 r. po zaliczeniu m.in. stażu w moskiewskiej siedzibie RWPG. On i pozostali czterech jego zastępców i specjalistów zostali oskarżeni o przekroczenie swoich uprawnień w gospodarowaniu mieniem społecznym, polecając lub akceptując nieprawidłową dokumentację i nierzetelne sporządzenie inwentaryzacji — czym spowodowali zawyżenie w sprawozdaniach dla GUS wartości sprzedanych wyrobów zakładu na sumę co najmniej 400 mln zł i powstanie szkody w gospodarce uspołecznionej na skutek wypłacenia nienależnych premii pracownikom w wysokości 6,4 mln zł.

Od września 1976 r. do końca roku następnego zakłady wykorzystywały zawarte wcześniej z Przedsiębiorstwem Obrót Chemikaliami Organicznymi i Barwnikami „Chemikolor” w Łodzi porozumienie o sprzedaży depozytowej do fałszywego przedstawiania wyników produkcyjnych „Azot” jest największym w Polsce producentem chemicznych środków ochrony roślin dostarczając 80 proc. pestycydów i 100 proc. insektycydów. Depozyt wypływał z różnicy pomiędzy koniecznością utrzymywania ciągłej produkcji a sezonowością zużycia środków ochrony roślin. Polegał na tym, że produkcja sprzedana odbiorcy nie opuszcza za

fałszować dokumenty kolejowe. Stosowano także wcześniejsze fakturowanie towarów, w większej niż rzeczywiste wysłanej ilości.

Nie bez przyczyny piszę o dwóch procesach, których raptem dzieli ponad dwa lata. Aż dwa lata. Chcę wskazać na to, że przez ten okres nie zmniejszyła się skala po pełnianych przestępstw. Częstotliwość wykrywanych przypadków dowodzi także, że również i ilość. Nie zmienili się także ich klimat, w którym powstają. W przypadku braniewskim zawyżenie wielkości produkcji jak i wypłaty nienależnych premii nie budziły żadnej odrzuty pracowników PBRol, jak i mieszkańców. Mówiono, wielka omyłka sprawiedliwości. Tu i tu w krótkim czasie zdolano zawyżyć produkcję w milionowej skali. Ani kontrola zakładów, ani jednostki zwierzchniej nie ujawniły nadużyć, mimo nadechodzących sygnałów, które — teraz śmiało można rzec — były po prostu tuszowane. W PBRol, w fałszowaniu planów produkcji budowlano-montażowej uczestniczyli kierownicy budów, w „Azocie” prawie cała załoga. I to chciałbym bardzo mocno podkreślić.

A więc nie tylko dyrektorzy, ale i kierownicy oddziałów i wydziałów produkcyjnych, wreszcie sami robotnicy, którzy posłusznie wypełniali polecenia. A więc atmosfera pełnej akceptacji. Dowodzi to demoralizacji załogi i paruszenia ustalonej hierarchii społecznych wartości, których proces naprawy będzie zapewne trwał długo, bo zmiany w mentalności nie da się wyrugować tylko prokuratorskimi sankcjami. Bowiem w przypadku patologicznego społecznie czynu, powstają jednocześnie mechanizmy obronne, do których trzeba



Foto: K. Centkowski

WACŁAW OPACKI

ODGŁOSY 3



Prof. LESZEK WOŹNIAK: Obiecano nam tę niezbędną dla nas aparaturę, ale, niestety, musimy na nią jeszcze poczekać.

Dalszy ciąg ze str. 1

ODGŁOSY: Wagę problemu walki z nowotworami w Polsce podkreśla fakt ujęcia go w ramy programu rządowego. A to już nie było jakaś ranga.

Prof. LESZEK WOŹNIAK: Niewątpliwie. Jest to jedyny program rządowy, który dotyczy wyłącznie problemów medycznych. Wykonanie programu zaplanowano na 15 lat — od 1976 roku do 1990. Program rządowy do walki z chorobami nowotworowymi stawia przed onkologią w Polsce ogrom trudnych zadań. Jego celem jest podwojenie liczby trwałych wyleczeń w tej grupie chorób w przeciągu 15 lat. W tym celu podjęto wielostronne i nader skomplikowane działania oraz przeznaczono znaczne nakłady na jego realizację. W trzecim pięcioletniu będzie to już suma rzędu kilku miliardów złotych. Doniosłego znaczenia tych wszystkich przedsięwzięć nie sposób zamknąć w kilku zdaniach.

— Czy decyzja wybudowania nowego pawilonu onkologicznego w Łodzi wynika z założeń programu rządowego walki z chorobami nowotworowymi?

Dr TADEUSZ NAGANSKI: Tak.

— Ale jego budowa rozciga się w czasie jak przysłowiowa guma. Obawiam się, że przestanie być nowoczesny, nim zostanie oddany do użytku.

T.N.: Nie będzie aż tak źle, niemniej „poślizg” jest rzeczywiście zbyt długi. Jednak może pana z ulgą poinformować, że w tym roku prace budowlane zostaną już zakończone. Co prawda, parę lat temu też mieliśmy nadzieję, że 200 nowych łóżek szpitalnych otrzymamy zgodnie z planem, tym bardziej, iż początkowo prace budowlane szybko posuwały się naprzód.

L.W.: Tak szybko, że w 1976 roku nawet wyprzedzały plany robót.

T.N.: Pawilon odbieramy etapami. Sądzą, iż w lipcu będziemy go mogli częściowo zagospodarować. W maju przejeżdżaliśmy drugie piętro i umieszciliśmy tam pierwszych chorych. Jest to 42-łóżkowy oddział chemioterapii oraz kilkanaście łóżek chirurgicznych. W czerwcu uruchomiliśmy oddział radioterapii ogólnej.

L.W.: Nawet takie stopniowe uruchamianie części łóżkowej ma bardzo istotne znaczenie dla terapii onkologicznej w Łodzi. Cieszy myśl, że chyba już wkrótce będziemy mogli przyjąć dalszych chorych, oczekujących na szybką pomoc lekarską. Godny uznania jest wysiłek zespołu onkologii, który w miarę przejmowania pawilonu uruchamia w nim, na bieżąco, poszczególne oddziały.

T.N.: Teraz przygotowujemy się do odbioru oddziału radioterapii ginekologicznej, usytuowanego na parterze budynku. Zamierzamy w tym oddziale wydzielić kilka łóżek dla celów ginekologii zabiegowej.

L.W.: Ma to bardzo istotne znaczenie, ponieważ dotąd chore na nowotwory układu rodniczego i wymagające zabiegów operacyjnych leżały na oddziale chirurgicznym.

— Nie ulega wątpliwości, że 200 nowych łóżek szpitalnych dla potrzeb onkologii w Łodzi jest wydarzeniem dużej wagi. Sądzą jednak, iż w ślad za tym powinno pójść powiększenie i unowocześnienie części aparaturowej ośrodka. O ile mi wiadomo, onkologia w Łodzi odczuwa pod tym względem pewne braki.

L.W.: Owszem. Ponadto wzbudza niepokój, przewidywane opóźnienia w realizacji programu wyposażenia ośrodka w nowoczesną aparaturę diagnostyczną i terapeutyczną. I trudno będzie je przezwyciężyć. W tej chwili na pierwszym miejscu stawiamy zaopatrzenie ośrodka w aparaturę radiologiczną.

— Dlaczego?

L.W.: Tak duży ośrodek onkologiczny nie może rozwijać efektywnej działalności, w pełnym tego słowa znaczeniu, pracując tylko na jednym aparacie do prześwietleń i jednym do zdjęć rentgenowskich. Każdy szpital musi mieć co najmniej zdublowaną aparaturę, choćby na wy-



Dr TADEUSZ NAGANSKI: Rozpoczęcie tak szeroko zakrojonej działalności będzie możliwe dopiero po całkowitym przekazaniu nowego pawilonu łódzkiemu ośrodkowi onkologicznemu.

padek awarii. Poza tym aparatura ta jest zbyt delikatna, żeby można ją eksploatować bez przerwy, bez okresowej konserwacji i bez wymiany części.

T.N.: Przy tak dużej liczbie pacjentów — 400 chorych leżących i stu kilkudziesięciu przyjmowanych codziennie w różnych gabinetach — zachodzi konieczność badań radiologicznych „non-stop”. Ośrodek jest więc bardzo obciążony.

— W dodatku liczba chorych stale rośnie, co wcale nie polepsza i tak już trudnej sytuacji.

L.W.: Według zapewnień przewodniczącego ministerialnej komisji rozdziału aparatury medycznej, jak również wiceministra resortu zdrowia i opieki społecznej, Tadeusza Szelachowskiego, ośrodek onkologiczny w Łodzi ma otrzymać wkrótce dwa aparaty rentgenowskie

L.W.: Ma ją Warszawa, Śląsk i Poznań. Wkrótce zainstaluje się także aparaty także w Gdańsku, Wrocławiu i Krakowie.

— Czy nasz ośrodek onkologiczny ma jakieś widoki na otrzymanie tomografu?

L.W.: Mamy dość enigmatyczną obietnicę, że na przełomie lat 1980—81 łódzki ośrodek otrzyma tomograf komputerowy. Proponowany przez resort zdrowia aparat produkcji węgierskiej nie spełnia jednak podstawowych wymagań, służy tylko do badania głowy, a poza tym jest to model przestarzały. Potrzebny nam jest tomograf komputerowy do wykonywania zdjęć warstwowych wszystkich wewnętrznych narządów ciała. Ograniczanie się do czaszki zupełnie nie rozwiązuje naszych problemów onkologicznych. Robimy starania o tomograf komputerowy w ramach realizacji programu rządowego na naszym terenie. W dniu 18 czerwca odbyła się, jak mniemam owocna, narada zwołana z inicjatywy prezydenta miasta i Sekretariatu Komitetu Łódzkiego PZPR. W naradzie, oprócz władz miasta wziął udział kierownik P.ogramu Rządowego nr 6, profesor Tadeusz Koszarowski, poseł na Sejm PRL. Zarysowała się możliwość zakupu tego aparatu wspólnymi siłami: część wydatków pokryłoby władze centralne i część — muncypalne.

— U progu XXI stulecia nie sposób walczyć z tym najgroźniejszym dziś wrogiem człowieka, jakim są nowotwory bez najnowocześniejszych środków. Sądzą jednak, że jeśli w tym roku festiwal piosenki w Sopocie odbędzie się w nieco skromniejszej oprawie, bez udziału głośniejszych gwiazd, mam na myśli Demisa Roussosa i zespołu „Boney M.”, to tak, jakbyśmy już mieli w Łodzi pół tomografu...

Czy łódzki ośrodek onkologiczny stanowi samodzielną jednostkę służby zdrowia?

T.N.: Niezupełnie. Jest niezależny merytorycznie, ale organizacyjnie jest podporządkowany Wojewódzkiemu Szpitalowi Zespolonemu im. Mikołaja Kopernika.

— Jego działalność określa program rządowy do walki z nowotworami, przy czym sprawuje on także pieczę onkologiczną nad pięcioma województwami. Czy tak?

T.N.: Owszem. W ramach tego programu ośrodek w Łodzi jest zobowiązany do rozwijania opieki onkologicznej nad województwami: łódzkim, piotrkowskim, sieradzkim, skierniewickim i wrocławskim. Swego czasu w stolicach tych województw powołaliśmy do życia woje-

logii jest wyposażony na dość dobrym poziomie. Mamy dobre mikroskopy świetlne, zamrażarki, kriostaty, ultramikratomy, mamy nowoczesny mikroskop elektronowy, właśnie niedawno ustawiony. Natomiast zaplanowana w nowym pawilonie pracownia medycyny nuklearnej czeka na elementarne wyposażenie do badań diagnostycznych przy pomocy izotopów promieniotwórczych. Obiecano nam tę niezbędną dla nas aparaturę, ale, niestety, musimy na nią jeszcze poczekać. W Akademii Medycznej mamy dobry sprzęt i aparaturę detekcyjną: gammakamerę, scyntygrafy, renograf i inne. Jednak Zakład Medycyny Nuklearnej AM jest przeciążony i zbyt oddalony od ośrodka onkologicznego.

— Cieszy, że mamy tę nowoczesną mikroskopię. Ale inne aparaty do diagnostyki, i zresztą nie tylko do diagnostyki, są przełazłe i zużyte, o czym już niejednokrotnie pisało.

L.W.: Ująłbym to w ten sposób: w niektórych dziedzinach diagnostyki jesteśmy w Łodzi na średnim poziomie europejskim, a w niektórych na bardzo miernym. W zakresie aparatury leczniczej jest podobnie. Nowoczesnym aparatem w ośrodku jest przyspieszacz liniowy „Neptun 10”. Ta megawatowa aparatura jest uzupełniona tak zwanym stymulatorem, czyli aparatem rentgenodiagnostycznym, pozwalającym na precyzyjną lokalizację guzów w narządach wewnętrznych. Przyspieszacz liniowy został wyprodukowany w Swierku, w Instytucie Badań Jądrowych, na licencji francuskiej CGR. Mamy bombę kobaltową produkcji firmy Siemens, niestety, tylko jedną i w dodatku starą, użytą technicznie i wymagającą generalnego remontu. Tak duży ośrodek onkologiczny jak nasz powinien mieć co najmniej jeszcze jedną taką bombę. Mamy bombę cesową do nasświetlań bardziej powierzchniowych, która też prosi się o remont.

T.N.: Dodajmy do tego jeszcze aparaty, o których pan profesor nie wspominał: dwa węgierskie do rentgenoterapii, następnie jeden produkcji Philipsa i jeden firmy Miller — oba także do rentgenoterapii, wszystkie z lat 1938—64, użyte w 80—90 proc. i mało sprawne.

L.W.: Delikatna aparatura medyczna zużywa się wyjątkowo szybko i musi być zastępowana nową, bardziej nowoczesną. Dlatego też, jak już powiedziałem o tym wcześniej, z ogromną niecierpliwością czekamy na spełnienie obietnicy w sprawie zaopatrzenia naszego ośrodka onkologicznego w nową bombę kobaltową w tomograf komputerowy i aparaturę do diagnostyki izotopowej.

T.N.: To dla nas problem wielkiej wagi. Łódzki ośrodek ma pod swoją opieką, bądź co bądź, pięć województw zamieszkałych przez blisko 3 miliony ludzi. Statystyki notują najwyższy wzrost zachorowalności na raka nowotworowe w naszym makroregionie. Wskaźnik ten rośnie niepokojąco szybko. Na przykład w 1976 roku w szpitalu w Łodzi leczylimy ponad dwa i pół tysiąca chorych na choroby nowotworowe i udzieliliśmy ponad 59 tysięcy porad. W roku 1979 w szpitalu leczono już z górą trzy tysiące chorych i udzielono blisko 80 tysięcy porad.

— Czy ustalono obszar epidemiologiczny, mam na myśli obszar największego zagrożenia chorobami nowotworowymi w naszym makroregionie?

T.N.: W ogólnym zarysie. Jesteśmy w trakcie krystalizowania zadań dla działu metodyczno-organizacyjnego ośrodka, który poszerzy prace w dziedzinie szkolenia, planowania kadry i wyposażenia, profilaktyki, oświaty sanitarnej i właśnie epidemiologii nowotworowej. Jednakże rozpoczęcie tak szeroko zakrojonej działalności będzie możliwe dopiero po całkowitym przekazaniu nowego pawilonu łódzkiemu ośrodkowi onkologicznemu.

L.W.: Pragnę szczególnie mocno podkreślić, że inwestycje służby zdrowia rozszerzają i polepszają opiekę zdrowotną w kraju. I są tym ważniejsze, iż obserwujemy obecnie niepokojące zjawisko stałego wzrostu liczby zachorowań wskutek zagrożenia, powodowanego burzliwym i często nie kontrolowanym rozwojem cywilizacji technicznej. Na szczęście, nauka wykrywa coraz to nowe i skuteczniejsze metody zwalczania tych chorób, w tym także nowotworowych. Ale do tego potrzebne są szpitale, pracownie i zakłady naukowo-badawcze, wykształcona, wyspecjalizowana i wysocze ofiarna kadra medyczna, nowoczesne metody zwalczania chorób, nowoczesna aparatura diagnostyczna i terapeutyczna, skuteczne leki.

— Dziękuję panom za rozmowę.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Foto: R. Lucyszyn

PROBLEM: ONKOLOGIA

produkcji węgierskiej. Mamy nadzieję, że zainstalujemy je w III lub w IV kwartale tego roku.

T.N.: W związku z tym wylonili się zupełnie nieoczekiwane kłopoty. Otóż aparaty tego typu zawieszają się przy suficie, wobec czego należy dokonać nieznacznych przeróbek w już gotowych pomieszczeniach, zaplanowanych i przystosowanych do aparatury produkcji NRD. Wykonawca sprzeciwia się temu, gdyż wszelkie przebudowy opóźniają mu plan wykonania. Życie zmusza nas jednak do wprowadzenia koniecznych zmian nawet w założeniach konstrukcyjnych.

— Czy, zdaniem panów, pawilon jest rozwiązany nowoczesnie pod względem architektonicznym?

T.N.: Dość nowoczesnie i jest funkcjonalny. Przede wszystkim zaprojektowano w nim małe sale jedno-, dwu- i trzyosobowe. Każda ma własny węzeł sanitarny, a niektóre także własne prysznice. Przypuszczam, że funkcjonalne są również specjalne pomieszczenia dla zakładów i pracowni diagnostyczno-terapeutycznych. Używam słowa „przypuszczam”, ponieważ sprawdzi się to dopiero w pracy codziennej, po zainstalowaniu w nich całej aparatury.

— Właśnie, chciałbym wrócić do aparatury. Mówię dziś o nowoczesnych metodach w dziedzinie diagnostyki i terapii, nie dysponując nowoczesnym sprzętem medycznym byłoby czystą retoryką.

L.W.: Technika niesłychanie szybko wkracza do różnych dziedzin medycyny i w ogromnym stopniu stymuluje rozwój nowoczesnych, nowatorskich metod walki z chorobami. Aparatura medyczna starzeje się jednak bardzo szybko, musi być stale „odmładzana” i zastępowana coraz bardziej nowoczesną. Jeśli już o tym mowa, to łódzki ośrodek onkologiczny, ze względu na szczególne zagrożenie chorobami nowotworowymi w całym makroregionie, powinien mieć tomograf komputerowy. Jest to najnowocześniejszy aparat do diagnostyki rentgenowskiej, kosztowny, ale nieodzowny w każdym nowoczesnym szpitalu onkologicznym. A taki właśnie ośrodek chcemy mieć w Łodzi. Ten znakomity aparat lokalizuje, bez uciążliwości dla chorego, guzy nowotworowe szczególnie trudne diagnostycznie, na przykład guzy w mózgu, śródpiersiu, w nerkach, trzustce, wątrobie. Wszędzie tam, gdzie jest to połączone z bardzo trudnymi badaniami diagnostycznymi przy pomocy innych metod, dość agresywnych, a przez to czasem niebezpiecznych. Tomograf komputerowy rozwiązałby nam te niezwykle skomplikowane problemy diagnostyki onkologicznej.

— Czy w kraju mamy taką aparaturę?

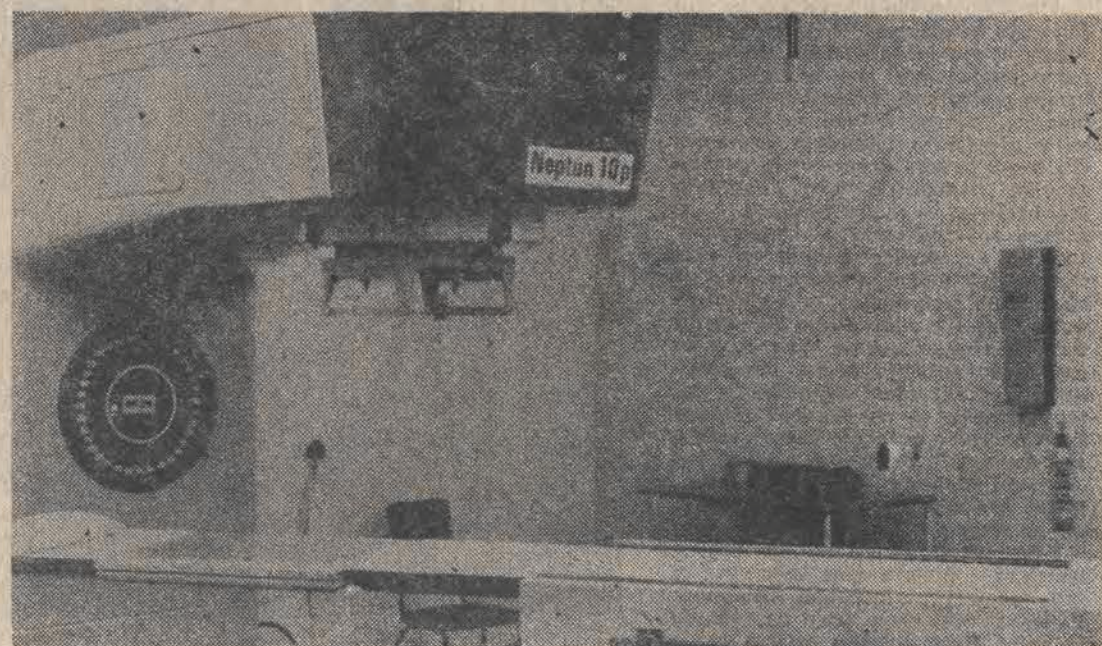
wódzkie poradnie onkologiczne, które współpracują z ośrodkiem w Łodzi w zakresie rozpoznawania i dalszego leczenia chorych onkologicznie.

— To znaczy, że nie leczą one chorych kompleksowo, lecz sprawują opiekę lekarską nad chorymi, którzy przeszli leczenie w ośrodku onkologicznym w Łodzi.

T.N.: Tak. Przy okazji wspomnę, iż w niektórych poradniach wojewódzkich, obok specjalistów z łódzkiego ośrodka onkologicznego, pracuje już pewna liczba miejscowych lekarzy, przeszkolonych specjalistycznie w Łodzi. Teraz czekamy na sfinalizowanie bardzo istotnej dla nas sprawy, a mianowicie specjalizacji lekarzy w zakresie chemioterapii.

— Podstawowe znaczenie dla onkologii ma bardzo dokładne określenie rodzaju nowotworu, ono bowiem warunkuje wybór odpowiednich metod leczenia. Węzeł diagnostyki, czyli — chcąc nie chcąc — znowu muszę wrócić do aparatury. Jakimi, poza marzeniami o tomografie komputerowym, nowoczesnymi aparatami diagnostycznymi dysponuje ośrodek onkologiczny w Łodzi?

L.W.: Jeśli chodzi o podstawową diagnostykę — diagnostykę mikroskopową — to mogę z zadowoleniem powiedzieć, że Zakład Patomorfolo-



Neptun 10p — aparat terapeutyczny w ośrodku onkologicznym w Łodzi.

Dalszy ciąg ze str. 1

— Dlaczego EC-IV ma złą sławę u łódzian? Jak się tylko posłyszysz, że ktoś mieszka w rejonie zasilanym w ciepło i ciepłą wodę przez EC-IV, to się na ogół takim ludziom współczuje.

— To jest odczucie niesprawiedliwości.

— Ale rodzi przekonanie, że dawniej wybudowane elektrociepłownie były lepsze, a teraz buduje się gorzej. Czy tak jest istotnie?

— Nie. EC-IV jest najnowocześniejszą elektrociepłownią, jaką mamy obecnie w mieście. Ale też płacimy koszty tej nowoczesności. I może właśnie stąd bierze się to niesłuszne przekonanie, że jest to najgorsza elektrociepłownia.

W elektrociepłowni wszystko musi funkcjonować jak w zegarku. Wymagana jest wysoka precyzja działania wszelkich urządzeń. Zastosowano wiele urządzeń elektronicznych, wysoki jest tam stopień automatyzowania pracy. EC-IV oddawano niejako z marazmu. Urządzenia i ludzie muszą jednak przejść pewien okres dotarcia się. I ten okres dotarcia przypada na pełną pracę elektrociepłowni. Stąd może wzięła się niezadowolona zła sława EC-IV.

Ale zapewniam, że już niedługo będzie to najlepiej pracująca elektrociepłownia i wszyscy, którzy będą od niej otrzymywali ciepło i ciepłą wodę będą z tego zadowoleni.

— Jestem nawet skłonna pa-
nu uwierzyć, ale...

— Przepraszam. Nim pani powie o swoich zastrzeżeniach, dodam jeszcze, że EC-IV, jedyna w Łodzi, ma wszystkie kotły opalane węglem, podczas, gdy inne mają połowę kotłów opalanych mazutem. A trudności z płynnymi paliwami są nam wszystkim dobrze znane.

A teraz wróćmy do pani „ale”.

— Jestem skłonna pa-
nu uwierzyć, ale mieszkanka Da-
browy. Widziewa Wschodu oraz
częściowo południowych dziel-
nic Łodzi powiedzą zaraz, że
nieustannie mają przerwy w
dopływie ciepłej wody. Nęka-
ją ich stale awarie...

— „Za które skłonni są ob-
ciążać EC-IV. A to zupełnie
inny powód. To wina przesta-
rzałej sieci, a nie elektrociep-
łowni.

Mamy w Łodzi dwie stare i
w bardzo złym stanie magi-
strale, jedną od EC-II na
wschód i drugą od EC-I na
południe. Swego czasu przy
budowie sieci ciepłowniczej i-
zolację z włókien szklanych
lub mineralnych zastąpiono
piano-betonem. Ten typ izola-
cji nie zdał egzaminu. Piano-
beton w suchym gruncie spei-

trwają tylko dwa tygodnie.
Dlaczego u nas dłużej?

— Bo w Warszawie na po-
trzeby remontów sieci pracuje
przedsiębiorstwo „Spec”, wyko-
nujące prace wartości około
100 milionów złotych. Poza tym
zastosowano tam większe prze-
kroje rur przy budowie sieci i
są większe możliwości zasil-
nia z różnych źródeł niż u
nas.

Nasze potrzeby remontowe
wyrażają się sumą 50-60 mi-
lionów złotych wartości prac,

montów?

— Robimy wszystko, co jest
możliwe. Po rozbudowie naszej
bazy remontowej możliwości
wzrosną. Ale na to potrzeba
jeszcze trochę czasu. Robimy
na przykład wcześniej wyko-
py, przygotowujemy rury do
wymiany, aby tylko skrócić o-
kres wyłączenia. Mamy dokła-
dny plan remontu tych odcin-
ków, które według naszego
rozeznania wymagają szybkiej
interwencji.

Życie jednak płata nam
różne figle i komplikuje dzia-

sujemy różne urządzenia, jak
zasobniki ciepłej wody, pomp-
ki cyrkulacyjne i automatyz-
ację węzłów cieplnych. Ale jest
w Łodzi około 2 tysięcy blo-
ków, które nie mają zasobni-
ków ciepłej wody. Do automa-
tyzacji węzłów cieplnych po-
trzebne są regulatory z „Lu-
melu” i zawory elektroma-
gnetyczne, których to
produkcji dostarczają w

nie wystarczających ilości-
ciach. W wielu blokach trzeba
zmodernizować wymienniki
ciepła i z tym też są trudno-
ści. Dążymy więc do zmniejsze-
nia strat w miarę posiada-
nych możliwości.

— Wiele osób skarży się, że
płaci za dostawę ciepłej wody
do domu nawet wtedy, kiedy
tej wody nie ma. Czasem u-
suwanie awarii trwa kilka
dni. Na przykład ostatnio 250
bloków nie miało ciepłej wody
przez tydzień, a część z nich
nie ma jej nadal.

— To już nie nasza sprawa.
My dajemy ROM i spółdziel-
niom bonifikatę za okres, kie-
dy nie dostarczamy ciepłej
wody. Dlaczego takiej bonifi-
katy nie stosuje się wobec lo-
katorów, na to nie umiem od-
powiedzieć.

— Zdarza się i tak, że z
kranu płynie woda, która tyl-
ko nazywa się ciepłą, gdyż nie
ma właściwej temperatury. I
wtedy trudno dobrać, czyja to
wina: Zakładu Sieci Ciepłej,
czy administracji. W razie in-
terwencji w ZSC mówią, że
interweniować w administr-
acji, a znów administracja, że
w ZSC. Gdzie zaczyna się i
kończy kompetencja admini-
stracji domowej?

— Nasz nadzór nad siecią
cieplą kończy się przy wymi-
ennikach ciepła, a dokładnie
przy zaworach wyjściowych.
Od tego momentu zaczyna się
już nadzór administracji do-
mu.

Spotykamy się z ad-
ministracjami, przynajmniej
dwa razy w roku i ustalamy
wspólny plan gry, ale żeby to
dobrze działało w praktyce, to,
niestety, nie można powie-
dzieć. Różnie z tym bywa i
chyba wina często leży po o-
bu stronach.

— A cierpią na tym lokato-
rzy.

— Staramy się robić wszyst-
ko, aby tak nie było, ale ma-
my dość ograniczone możli-
wości.

— Mijmy jednak nadzieję,
że będzie z czasem lepiej.

— Musi być.

— Dobrze i to.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

KRAN Z CIEPLĄ WODĄ

nia swoje zadania, ale niech
się tylko dostanie wilgoć, za-
raz wchodzi korozja. I tak
jest na magistrali dostarcza-
jącej ciepło dla Dąbrowy i o-
siedli na południu miasta. Stąd
częste awarie.

— Czy nadal przy budowie
magistrali stosuje się ten typ
izolacji?

— Nie. Już dawno odeszli-
my od tego i stosujemy tra-
dycyjne rodzaje izolacji, które
w naszych warunkach dobrze
służą. Ale mamy jeszcze oko-
ło 10 km sieci ze starą, piano-
betonową izolacją i trzeba to
będzie wymienić.

Tu mogę pani powiedzieć, że
my w Łodzi na szczęście nie
zastosowaliśmy, tak jak na
przykład Warszawa, odpadów
porafinacyjnych ropy naftowej
do izolacji sieci. Technologia
takiej izolacji polega na tym,
że rury kładzie się w ziemi,
zasypując odpadami, my to
nazywamy filem, i zasypuje
się ziemią. W razie awarii
trzeba obok budować nowy
odcinek sieci.

— Ale w Warszawie remont
sieci i przerwy w dost-
wach ciepłej wody latem,

a wykonuje się je w wysoko-
ści 25-30 milionów złotych.
To raz.

Dwa — to znów sprawa ilości
awarii. W pierwszym półroczu
ubiegłego roku mieliśmy 56 a-
warii sieci. W 1980 roku mamy
już w tym samym czasie 95
awarii, z tego usunięto 61, a
wciąż obecnie sieć pracuje z 34
wyciekami.

Chcemy rozbudować nasze
przedsiębiorstwo remontowe,
żeby móc się szybciej i spr-
awniej uporać z remontami, bo
zdajemy sobie sprawę, ile to
sprawia kłopotu mieszkańcom.
Mamy około 800 km przewo-
dów, którymi płynie ciepło i
ciepła woda dla około pół mi-
lionu mieszkańców miasta.

Aby obraz naszych kłopotów
był pełny, trzeba jeszcze do-
dać, że dostarczamy parę tech-
nologiczną do 232 fabryk i
sieć, którą ta para płynie ma
już 20 lat. Przez ten czas pra-
cuje prawie nieprzerwanie,
wyłączana jest na dwa trzy
dni, kiedy są święta. Wymaga
ona gwałtownie kapitalnego
remontu.

— Czy jest pan zadowolony
z tempa przeprowadzanych re-

malności. Na przykład sieć pod-
ziemna różnych kabli telefo-
nicznych, elektrycznych, instal-
acje gazowe. Często położono
je później, trzeba to ustalić i
tak postępować, aby nie spo-
wodować kolejnej awarii. Al-
bo drzewa. Zasadzono je nad
ciągami ciepłowniczych instal-
acji; drzewa urosły i dziś nie
wolno ich wycinać. Musimy
wzywać specjalistów z Zieloni
Miejskiej na konsultacje, a to
znów opóźnia prace. Przypadam
się pani, że zimą, kiedy trzeba
działać szybko, narażamy się
na kolegium, aby tylko czas
usuwania awarii był możliwie
krótki. Dopiero od dwóch lat
Zieloni Miejska konsultuje się
z nami, gdzie i kiedy można
sadzić drzewa, aby nie nastę-
powały kolizje przy usuwaniu
awarii. Ale ile jest takich
drzew, które mają już po kil-
kanaście lat i żal będzie je
niszczyć, kiedy zajdzie taka
potrzeba? A przecież można
byłoby tego uniknąć.

— Czy nie można również
uniknąć wylewania zimnej
wody do kanalizacji, nim się
człowiek doczeka na ciepłą
wodę?

— Można. W tym celu sto-



Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

Jestem w POD „Poltex” przy ul. Drenow-
skiej 181. Są to jedne z najlepszych, powie-
siliśmy wzorcowe ogródki, które w krajowym
współzawodnictwie zajmują z reguły dość wy-
sokie lokaty. Moimi rozmówcami są: małżon-
kowie Maria i Stefan Bernaciakowie, ona
przódka — emerytka, która przepracowała na
przedsiębiorstwie 27 lat, on rencista, mistrz na wy-
kończalni z 26-letnim stażem pracy; Antoni
Woźniak od 28 lat w „Poltexie”, pra-
cownik ochrony zakładu; Bolestaw Marciniak
— mistrz na tkalni, dziś rencista z 26-letnim
stażem i Tadeusz Kaczyński — elektryk, wy-
chowanek zakładu, w którym pracuje już
31 lat.

— Działki mamy od lat dziesięć, każda ma
300 m kw. Niby to niewiele, ale nie ma cza-
su na odpoczynek: ciągle jest robota.

— O, patrz pan, mam tu nawet leżaki, ale
jeszcze na nich nie odpoczywałem.

— Czy to prawda — pytam — że na każdej
działce musi być domek?

— Takie jest założenie. Statut mówi, że al-
tana może zajmować 12 m kw. powierzchni.
Nie wszystkim to starcza. Choćby wziąć moją:
cztery ściany i nic więcej. A chciałoby się
mieć komórkę na narzędzia. Nie można. Kto
wybudował bodaj o pół metra większą, mu-
siał rozebrać.

— Mówią, że teraz można budować nawet
do 20 m kw., ale u nas takich nie ma.

— Jakże można stawiać altanki: murywane
czy drewniane?

— Jakże kto chce, choć wygląd naszych al-
tanek jest jednakowy, bo dziesięć lat temu
każdemu z nas dano plan do ręki i trzeba było
według niego stawiać. Dlatego denerwuję nie-
których ta monotonia.

— Ludzie do budowy podchodzą różnie. Ja,
na ten przykład, mam jak się należy: funda-
ment, podpiwniczenie, solidne ściany. Inni —
stawiają na trylnice, ale to nic nie daje, bo
trylinka siada i ściany gniją. Weź pan ostat-
nie deszcz: zawsze w piwnicy było sucho, a
teraz pokazała się woda.

Wspominałem, że działki to nie tylko warzy-
wa i owoce, ale i destylatory powietrza, mini
oazy zieleni w betonowym świecie bloków
mieszkalnych i asfaltowych ulic. Są także
miejscem rekreacji i wypoczynku. Jednakże,
kiedy rozmawiałem z działkowiczami, wracali
oni uparcie do korzyści materialnych, jakich

dostarczają owe 300 m kw ziemi. Z wycień-
zonego Zarządu POD w Łodzi wynika, że
przeciętna produkcja w ostatnich czterech la-
tach kształtowała się następująco: owoce tward-
e z drzew owocowych — 3,5 tys. ton, o-
woce z krzewów owocowych (agrest, porzecz-
ki, winogrona) — 2 tys. ton, owoce z krzewów
jagodowych miękkich — 1,3 tys. ton, warzywa

Spokojny urok ogródków działkowych

— 3,6 tys. ton. Zbiory w większości trafiają na
stoły samych działkowców, ich rodzin i przy-
jaciół, natomiast nadwyżki są sprzedawane
pracownikom w swoich zakładach pracy, sto-
łówkom i zakładom gastronomicznym. Spora
ilość warzyw i owoców zostaje przekazywana
do Domów Seniora, Domów Rencistów, Zakładów
dla Nieuleczalnie Chorych, żłobków podopiecz-
nych i przedszkoli.

Sielankową sytuację pełną zaopatrzenia dzia-

lek w materiał szkółkarski i w materiały do
produkcji ogrodniczej. Co z tego, że zamówio-
no w Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-
Pszczelarskiej w Łodzi prawie dwa tysiące
drzew i krzewów i prawie cztery tysiące ro-
ślin cebulkowych, skoro zamówienie nie zo-
stało zrealizowane? Trzeba było szukać pomo-
cy w województwach ościennych, a nawet w
Kielcach i Częstochowie, a co za tym idzie
ponosić dodatkowe koszty transportu. Nie le-
piej przedstawia się sprawa z torfem. Na za-
mówioną ilość 9 tys. bal otrzymano zaledwie 4
tys. a do tego wyłącznie substrat niechętnie
nabywany przez działkowców. Rok bieżący
ma być jeszcze gorzej, bo torfu nie będzie. Nie
będzie także przydziału folii pod wczesne od-
miany warzyw.

ROZMOWA III

— Ograniczają nas we wszystkim: na dział-
ce mogą mieć tylko 8 drzew i 30 krzewów.

— Nie wolno trzymać kur, choć to przecież
laja i nawóz.

— Więc trzymamy króliki, choć śmierdzą du-
żo gorzej i nie przynoszą tego dochodu co ku-
ry.

— Ja nie mówię, że całe kurniki, ale 3-4
kury pod zamknięciem wystarczą.

— Tu co rusz chodzą i sprawdzają jak go-
spodarujemy i jeszcze stawiają nam stopnie.

— Zupelnie jak w szkole. Sami wiemy co
dobre, a co złe. Ale wystarczy posadzić kra-
czek nie w tym miejscu co trzeba, zaraz ci z
zarządu mają pretensje.

— Ja przez dwa lata miałem niedostateczny
za dodatkową komórkę na narzędzia.

— Niekiedy czepiają się byle czego, żeby tyl-
ko człowieka zdenerwować.

— A co jest za dobre stopnie? — pytam.

— Nagrody: książki albo narzędzia ogrodni-
cze, czasem wręczają odznaczenia.

— Państwowe?

— Gdzie tam, nasze. Ja, na ten przykład,
mam srebrną odznakę działkowicza.

— Ja także

— Ja brązową i srebrną.

Ogródki działkowe, choć wyda się to nie-
prawdopodobne, stanowią azyl dla świata prze-
stępczego. W nocy nikt z właścicieli nie od-
waża się tu zażyć: ciemność (nie ma oświe-
tlenia), gęste krzewy, daleko od ulic i domów.
Nocami do ogródków ściągają mgły spod bu-
dek z piwem, z knajp i melin, by tu w spo-
koju oddać się odpoczynkowi, rozpuścić łub

dalszemu pijaństwu. Altany stają się wówczas
domami noclegowymi, pijackimi norami, łatwą
zdobyczą dla złodziei. Nie pomagają zamki ani
kraty w oknach. Niektórzy z właścicieli, w tro-
sce przed zniszczeniem nie zamykają drzwi.
Nie wiele to pomaga: rano zastaje się pocie-
cie meble, rozprute kanapy, wybite szyby, od-
krecone lub urwane krany. Zdarza się, że
wrzucają do wnętrza gumowy wał i puszcza-
ją wodę... Zimą tereny ogródków dzia-
łkowych zamieniają się w hotele. Wówczas lepiej
się tam nie pokazywać. Znam przypadek, kie-
dy to posiadacz takiej altany, urządził w niej
małe prywatne muzeum, przenosząc doń cenne
starodruki, numizmaty, ikony i porcelanę. W
przekonaniu, że z domu może to zostać skra-
dzone, umieścił to we wspomnianej altanie na
terenie ogródków działkowych. Nazajutrz za-
stał istne pobożewisko: pijacka kompania hu-
lała całą noc deptając i trącając skarby, o któ-
rych wartości nie miała pojęcia.

Ogródki działkowe dostarczają także kwia-
tów. I to nie tylko ich właścicielom. Jestem
przekonany, że sporo kwiatów sprzedawanych
na naszych ulicach, pochodzi z kradzieży z
działek.

Na zakończenie chcę parę słów poświęcić pla-
nom rozwojowym tej słusznej i społecznie
ważnej akcji jaką są pracownice ogródków
działkowe. Ostatnio pozyskano nowe tereny w
miastach, osiedlach i gminach takich jak Ale-
ksandrow, Konstantynów, Ozorków, Nowosol-
na, Kębłiny, Jedlicze, Słowiak, Pawlikowice,
Grotniki. W niedługim czasie można będzie na-
bywać działki w Kopance, Andrespolu, Pabia-
nicach, dojdą nowe tereny w Bukowcu, Alek-
sandrowie i Zgierz, a także czynione są sta-
rania o wykup terenów w obrębie Łodzi w
rejonie ulic Opolskiej — Zjazdowej oraz Kre-
ciej. Są zamierzenia, by wykorzystać pod o-
gródki działkowe tereny Państwowego Fundu-
szu Ziemi, które były przeznaczone pod budow-
nictwo, a od lat są niezagospodarowywane.

W rozwoju pracowniczego ogródków dzia-
łkowych widzę szansę zwiększenia nie tylko
ilości warzyw, owoców i kwiatów, lecz przede
wszystkim terenów czynnego wypoczynku. Lecz
by to w pełni zrealizować należy zapewnić
pomoc w dostarczeniu działkowicom potrze-
bnych drzew, krzewów, nawozów, a także spo-
wodować, by działki przestały być azylem dla
szumowin i metów.

EUGENIUSZ IWANICKI

Popatrywałem na puste łóżko i do późna w nocy wysłuchiwałem o powieści mego współtowarzysza o pracy w kopalni, o mądrości niemalże ewangelicznej jego żony, Katarzyny. Katarzyna nie rzekła się dommu na korzyść dorosłych dzieci i dalej w nim gospodarzyła nie tylko jako pensja, lecz również i pensjami synów i dzisiaj każdy z nich ma własne mieszkanie w blokach, a najstarszy, żonaty, buduje nawet własny domek. Córka, Weronika, jeszcze chodzi do szkoły, ale już chłopaki zaglądają przez plotki. Nawet kiedyś jakiś tam zaofiarował się pomóc żonie przy kopaniu w ogródku. Powiedziała: „Pomagać to może, ale będzie kopał jako własny dopiero po zapisie rejestralnym”. Katarzyna trzyma się ewangelicznego prawa spadkowego i zapisze dom swoich rodziców dziewczęce dopiero na łóżu śmierci.

Czasem chciałem ziaogodzić surowość żony wobec dzieci i wtedy zaczynał z innej beczki: — Moja stara lubi gospodarzyć w ogródku, kwiaty u niej — rozglądał się po pokoju i nie mogąc znaleźć odpowiedniego przedmiotu, do którego porównałby korony kwiatów, wskazywał ręką na rabatki wokół sanatorium — nie takie, jak te tam. Gdyby Katarzynie dali taki plac, to by pokazała jak się gospodaruje, jakie to kwiaty powinny rosnąć. Nie tak, że głową siedzi w ziemi jak garbaty.

I tak każdego wieczora dopisywał nową cechę dodatnią swojej Katarzynie. Po czterech dniach miałem już nie tylko nadczłowieka, lecz i arcyaniola i gdyby chciało namalować Katarzynę, wątpliwy czy udałoby się tego dokonać najtęższym malarzom. Taki nadmiar cech dodatnich musieliby ukazać w obliczu, że prawdopodobnie reszcie dotąd namalowanych aniołów nie równoważyły ich.

Wiedziałem na pewno, że nie podejmę się namalowania portretu pani Katarzyny nawet na najusilniejsze prośby małżonka, rębacza.

Na razie nie przyznawałem się memu współtowarzyszowi, że jestem malarzem amatorem, ale zawsze to malarzem, z obawy przed zbyt ostrą opinią tego rębacza na przodku. Bałem się, że rębnie sobie w malarstwo niedzielne, a być może i zawodowe, jak w ścianę na przodku, aż się posypie budowany z trudem i mozolem mój, i nie tylko być może mój, świat zwykłej powszedniości, filtrowanej przez wyobraźnię artysty.

Już kiedyś przyznałem się podobnemu. Był wózkarszem w fabryce włókienniczej. Powiedział: „I co mi z tego, że pan malujesz. Tylko bogacze mogą mieć pieniądze na wyrzucenie na malunki, nie wózkarsz. Zresztą gdybym nawet miał, też bym nie kupił. Wstawię kwiat do kryształowego flakonu i tak samo pięknie jak na obrazku albo i piękniej. Wiesz pan co, na naszym osiedlu postawili rzeźbę. Mówili ci co stawiali, że to matka z dzieckiem, a ja powiedziałabym że przedję pasuje do rury odkurzacza wciągającego jakąś kulę”.

Drugi współlokator pokoju sanatorium przysłuchiwał się w milczeniu wywodom wózkarsza załatwił mnie, malarza amatora, może nawet malarzy profesjonalnych, może w ogóle całą dzisiejszą twórczość plastyków, rzeźbiarzy, jednym słowem: sztuką płodową.

Czułem się jak kiedyś w dzieciństwie, gdy rozwścieczony kolega, którego narysowałem z długim po pas jeźdźcem za skarżypytwo, nie mogąc mnie dogonić pomiędzy ławkami, pochwylił kałamarz i chlusał atramentem plamiąc mi białą koszulę.

Przeżywałem podobne uczucie. Była biel i była czarna plama rozszerzająca się jak żywa z tą różnicą, że ta biel i rozrastająca się czerń były we mnie, nie jak wtedy poza mną. Gdyby mnie wzięto pod rentgen, zobaczono by tę czerń wedrującą z moją krwią i limfą jak kontrast. Za tamtem wychlusty na mnie atrament wypełniała mnie chęć odwetu, wściekłość, po wypowiedziach moich współtowarzyszy z

pokoju sanatorium nie sprezywane uczucie upokorzenia, bezsensowności tego, co robię.

Po pewnym czasie odzyskiwałem utraconą równowagę psychiczną przywołując na pamięć wielkich niedzielnich malarzy tej miary co Granma Moses, Amerykanke stuletnią z Hoesick-Talls, Serafine. A już nigdy w życiu nie przyznałbym się, że czekałem wszędzie: w klubie, na plaży, w domu i w sanatorium na swego Uhdego czy Kellera.

Mijał czwarty dzień od mego przyjazdu do sanatorium. Farby, pedzle i płótna wciąż leżały na me stole, a osiołek w dalszym ciągu dotykał wargami gołej tkaniny zamiast soczystej zieleni liści.

„Poczekaj — mówiłem — taką ci namaluję z kwiatami po brzuch, tak się napasiesz, że dosiadając cię Arab z najbardziej krzywym nogami nie obejmie nimi twoich napęczniałych boków”. I wciąż naciskałem na jakiś impuls wewnętrzny, lub zewnętrzny, który pobudziłby moją wyobraźnię niedzielnego malarza. Zacząłem nawet przypisywać winę mego zastój w inwencji malarskiej współtowarzyszowi, który

MARIA SIWIŃSKA

OSIOŁEK NA ŁĄCE

wysoko przekraczał normy nie tylko w kopalni, lecz również i w swym gadulstwie. Byłem zagadany, zgromiony codziennym gledeniem o codzienności. Jedynym ratunkiem była wieczorna ucieczka do łóżka, naciągnięcie koca powyżej czubka głowy i zrobienie tunelu z uniesionego ukradkiem pledu dla dopływu powietrza. Leżałem tak przyczajony z nastawionymi uszami, dopóki nie ustyszałem pierwszego zachrapania. To był sygnał do wyjścia z mojej kryjówki. Mogłem wrzescie odrzucić koc, zacząć normalnie oddychać, nawet wstać. Sen mego współtowarzysza był twardy, skalisty, jak jego ściana w przodku i trzeba było skrzesać potężny hałas, żeby go podnieść z łóżka. Miałem pecha, że akurat z tym drwałem od przodków.

Postanowiłem po tych kilku rozprężniętych dniach narzucić sobie pewien rygor, żeby nie wyjść z wprawy. Na następny dzień zaraz po wyjściu mego współlokatora po śniadaniu na spacer w pobliskie góry dla przewietrzenia płuc, zgarnąłem farby i pedzle i zbierałem się do wyjścia w plener. Gdy już zamierzałem opuścić pokój, przez nie domknięte drzwi usłyszałem na korytarzu głos kierownika i wymieniany przez niego numer naszego pokoju. Zrozumiałem, że to kandydat na trzecie łóżko. Odłożyłem torbę z malarskimi przyborami i czekałem.

Był niski, przysadzisty, z nadmierem faldami tłuszczu u nadgarstków, z burzącą się, welnistą czupryną dobrze już siwiejących włosów.

Przedstawił się: — Andreas.

Przedstawiłem się Andreasowi również na modłę młodzieżową. Rozpoczął od wykładania zawartości walizki na półki szafy. Druga pozostała nie tknięta. Jej wymiary, a przede wszystkim płaskość sugerowały, że to zawiera ubrania. Jej kształt wydawał mi się chwilami dobrze znajomy. Przeżuwałem w niej farby, pedzle. Andreas przez cały czas rozpakowywania rzeczy i układania ich w szafie podśpiewywał i pogwizdywał na przemian melodie.

Znałem ją. Rytmiczna i jakby rozkołysana w błękitnej bryzie. — Theodorakis! Ksenakis! — strzelałem dalej na ślepo. — Malarz! Muzyk! Piosenkarz! Nie zaspokoilem swojej ciekawości. Nie miałem odwagi spytać go wprost. Czekałem na nadarzącą się okazję.

Podczas obiadu przysiadł się do mego stolika rębacz z przodków. Po raz pierwszy nie mówił o swojej

Katarzynie, lecz o nowym współlokatorze.

Był Grekiem, pochodził z gór Włoch, samego centrum oporu wobec własnego, rodzinnego faszyzmu. W Polsce mieszkał stale od czterdziestego dziewiątego roku.

Jednak o najważniejszym dla mnie nie powiedział. Dowiedziałem się sam, wieczorem, jeszcze tego samego dnia.

Andreas siedział przy sąsiednim stoliku i z uwagą śledził jakąś kuracjuszkę. Nie była ani młoda ani piękna, trudno nawet powiedzieć, ładna. Jej zwiędła, masywna postać rysowała się jaskrawo na tle białych ścian. Sukienka czerwonego koloru czyniła ją jeszcze bardziej zauważalną. Była raczej typem pospolitym. Takich kobiet widzi się całe roje na przykład w bramach fabrycznych podczas zmiany godzin pracy, na wartach przy krosnach, w szwalniach, ale również i pojedynczo w pracowniach rzeźbiarzy i zaklętych już w marmur czy w gips na skwerkach i w parkach. Masywność modelek była widocznie niezbędna w sztuce przestrzennej. Natarczywe przyglądanie się Andreasowi kuracjusze z pewnej odległości, jakby z

graf, tylko z tą różnicą że zamiast autografu prosiłem o rysunek, najmniejszy szkic.

Gdy się drapał po swojej zeusowskiej czuprynie i w ten sposób jakby wyrażając kłopot jedynie z wyborem tematu do szkicu, podsunąłem: — Niech pan narysuje siebie, Andreasie.

Wytrzymał mnie przez chwilę swoim wzrokiem, sięgnął po szklownicę, poprowadził pierwszą linię nadając jej kształt meandryczny.

Patrzyłem z zaciekawieniem.

Przykrył nagle dłonią swój rozpoczęty rysunek i mrugnął do mnie okiem.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że bawi się ze mną jak to robiliśmy z kolegami w szkole. W narysowany punkt na kartce, przykryty drugą nieprzezroczystą kartką lub tylko pod własną dłonią, musielibyśmy utrafić z miejsca ołówkiem. W przeciwnym razie przegrywało się. Gra była o wysoką stawkę, bo o całe dwadzieścia groszy. Za wygrane natychmiast kupowało się lody w budce. Teraz stawka nie miała dla mnie ceny. Teraz moja stawka było bardzo wiele, prawie wszystko, radość mego życia, i pół jego sensu.

Zacząłem uświadamiać to sobie w których bardzo prozaiczny wieczór. Dom napelniał się wtedy korzennym zapachem przypraw dodawanych do wekowanych sałatek, z sąsiedniego pokoju rozlegało się ciężkie posapywanie żony zmęczonej wycieczkami sztuki kulinarnej. Myślałem: „Już tak do końca. Weki, odkurzenie mieszkania, małe spacerki z pieskiem”. Nie mogłem dokładnie uchwycić tego momentu, postawić słupa granicznego między narodzinami we mnie poezji barw i kształtów, a codzienną prozą myśli, słów, poczyniła, przedmiotów. Z dnia na dzień straciła się we mnie codzienność i klarowały się najczystsze barwy. Coraz większe rosło we mnie pragnienie uwewnętrznienia, dotykania ich zmysłem wzroku.

Andreas rysował po omacku pod własną dłonią patrząc na mnie tym swoim leciutkim drażniącym uśmiechem.

Czekałem cierpliwie końca tej gry, bo nie innego nie mogłem zrobić.

Po kilku minutach odsunął rękę. Powiedział patetycznym głosem: — Oto jestem.

Bawił się mną, po prostu bawił się.

Z kartki patrzyła sroga twarz Zeusa, lecz nie kamienna w oku pierścieniowatych włosów, brody. Wywołany z wieków spoglądał ludzko, życzliwym oczami.

Zrozumiałem nagle, że Andreasowi niepotrzebny wzrok. Gdyby nawet został pozbawiony wzroku, malowałby dalej. Zrozumiałem i to, że jego malarstwo jest siłą wewnętrzną i wypalającą czystość karty, płótna, bez posługiwania się wzrokiem.

— Niepodobny jestem? — spytał żartobliwie.

W tym też był całym Grekiem, nie tylko wtedy, gdy chodziło o niepodległość, handel, eksport kultury, sportu.

— Narysowałeś Andreasie Zeusa, a prosiłem żebyś siebie narysował. Znowu przez moment wpatrywał się we mnie tym swoim leciutko drażniącym uśmiechem, wyrwał kartę z naszkicowaną głową Zeusa i zabrał się powtórnie do rysowania. Teraz nie osłaniał ręką jakby nie miał już ochoty do dalszej zabawy, a może tylko do popisywania się. Po chwili piętrzyły się pojedyncze krzywe, urywane w różnych swych długościach, gmatwały się ze sobą. Przywołał z kolei własnym talentem i pamięcią innego Greka. Był nim Apollo.

Zadawałem przewrotne pytanie: —

To ty, Andreasie? Miałeś wtedy dwadzieścia lat, tak?

— Nie udawał Greka!

Zabrał się do następnego rysunku. Pomyślałem: „To twórczość taśmowa”.

Rozpoczął od włosów. Krótkie, faliste, zburzone jakby od nieustannych podwiewów wiatru, owal twarzy bez najmniejszego zniekształcenia, dziewczęce ciało splecione chitonem, zarys skrzydła na ziemi.

„A jednak źle rozplanował — myślałem z jakąś satysfakcją — nie starczyło już miejsca Andreasowi na całą rękę sięgającą po te skrzydła, zaledwie na dłoń z palcami.

— Wiesz, czyje są? — spytał Andreas pokazując na ręce i zaraz dodał — to moje ręce, przyjrzyj się. Siebie nie musiałem rysować, no bo jestem obok, więc po co?

— Pomagałeś ją okradać ze skrzydeł? — spytałem.

— A czymże byłbym bez niej, bez niego, bez niego — przesuwając kolejno naszkicowane kartki — i w ogóle czym byłby Grek. Nędznym handlarzem, dziczejącym pasterzem kóz, zaślądranym rybakiem. Zawdzięczając im Grek podarował światu kulturę, demokrację, sport.

Dumny z ekspansywności myśli swych przodków zapędził się jeszcze na ścieżki pierwszych ogrodów botanicznych i muzeów entomologicznych Attalidów, tasował wieki jak karty, tylko że miał lichego partnera do gry w mojej osobie. Zbyt dawno kończyłem gimnazjum klasyczne i moja greka była licha, uleciała mi z pamięci. Mimo intensywnego wysiłku nawet nie byłem partnerem. W końcu zdobyłem się na banalne pytanie: — Dlaczego Andreasie pozostajesz tutaj? Dlaczego nie wzbogacasz swoim talentem własnej ojczyzny?

Ucznił lekceważący gest ręką. Powiedział: — Do końca świata starczy jej sławy i bez mego pomnażania. A zostałem z powodu kobiety. Zważyła mnie nadodrzańską syreną. Moja Matylda wprowadziła ma już protezy i jej warkocz posiwiał, ale jej serce dalej jak cichy pot. Zakotwiczylem się — po chwili dodał już całkiem prozaicznie — moja żona choruje na nadciśnienie i nie znosi wysokich temperatur.

— I tak en-ty Odyse nie wróciś do swej Itaki — powiedziałem.

— Jesteś historykiem? — spytał.

Zrozumiałem, że Andreas powrócił do rzeczywistości, z wieków Helenów i Hellady do wieczora, do pokoju sanatorium, do dialogu.

Wejście naszego współlokatora zahamowało moją odpowiedź.

— Jesteś wykładowcą filozofii klasycznej?

Milczałem.

Niespodziewanie włączył się rębacz z przodku. — Ja panu powiem, jak nasz kolega nie wie sam, kim jest. Jest, panie, rachmistrzem w spółdzielni dojazdowej, w kombinacie rolniczym.

Czułem, że jestem zmiażdżony przez dwie potęgi przeciwstawne sobie, mimo że jestem ich zupełnie przypadkową ofiarą. Jeżeli nie podniosę się o własnych siłach, nie umknę zacieśniającej się szczeliną, zgine.

Uciekłem uprowadzając w skórzanym worku swego osiołka. Rozwiązałem na księżycowej ścieżce. Obiecałem: — Poczekaj do świtu, zaprowadzę cię na soczystą łąkę.

O świcie słońce wstało jaskrawo. Cienie nocy rozpoczynały pośpieszną wędrowkę za drzewa, za skały. Oparłem się mocno plecami o pień drzewa. Osiołek stał potulnie u moich kolan na potulnym polu uwiązany na ordynarnym łańcuchu czerni. A jednak zmieniał swą decyzję i nie wiem dlaczego. Nie wypuściłem go wcale na soczystą łąkę, postawiłem go przed szklaną górą. Nie rozumiałem sam swego sadyzmu wobec tego najsympatyczniejszego i potulnego zwierzątka. Przecież osły kocham i byłem raptem taki twardy. Poprzez przezroczystość szkła ukazywałem zwierzęciu zieloną, kwiatną łąkę i twardo mówiłem: — Ale musisz ją najpierw przejść, przeskoczyć.

GRAZYNA PIECHNAT

NIE JESTEM

Nie jestem już niedziela białym posłaniem rosy o świecie ani dzwoniącą blaszką paproci

czemu w pobliskich moich źrenicach szukasz miedzianych owoców tegorocznego lata

nie jestem zegarem snów nie jestem lalką która z zielonej wstki obrywa akacje tak nie tak nie

kiedys poólkę na jesieni i spłynie w dół kołysana wiatrem jak liść który odchodzi

ODGŁOSY 6

nie jestem już czystym obrusem ekranem południowego rodzinnego spotkania nie jestem już niedziela miły

POETA I UCZENNICA

W parku na ławce siedzi poeta z uczennicą zmierzcha się a oni jeszcze mają sobie do powiedzenia kulawy chłód otula ich ciała a oni wciąż mówią i piją małymi łyżkami trójgwiazdkowy koniak z Araratem w herbie — tu w tym miejscu wyładowała arka Noego — mówi poeta i wskazuje palcem butelkę — wiem — odpowiada uczennica — wszystkiego w niej było po dwa ale czy wypada pocieć plę koniak — chyba nie — waha się poeta

alejkami spacerują ludzie kilka przytulonych par mówią że na ławce siedzi podrywacz i lekkomyślna panienka i że piją patykami pisane — nie jest panu przykro że tak mówią — z troską w głosie pyta uczennica — nie drogie dziecko ja już tyle lat mieszkam na spacerze przyzwyczaiłem się do tego ale kiedy jest mi źle to biorę długopis i długo piszę

ROZMYŚLANIE
NAD TALERZEM ZUPY

Na taką to i beczka miodu za mało wiecznie skrzywiona — pedzel piotunowy

oszczędzasz toś sknera nie oszczędzasz hulaka da ci talerz zupy a potem wymówi wieczoraj byłes bożyszczem a dzisiaj idiota bo jest ci zimno a jej przecież ciepło

Wszystko jej zawdzięczasz nawet dziurę w całym mowie — jesteś w raju a przecież to piekło kiedy rozprawia kto ładny kto brzydki przytakuj grzecznie niech na miotle siedzi bo się zdenerwuje choć jesteś artystą i tak ciebie pośle byś sprzedawał śledzie

Ach gdyby tak być krępkim chłopcem i fajkę zakurzyć i zrzucić wreszcie z siebie skórę tego gada baba Krysia baba Zosia baba Kazia przesładuje nas ta Baba Jaga!

POEZJA

Recenzenci wprowadzili od niedawna dwa kryteria zastępcze dla debiutów poetyckich: 1) kontynuator lub epigon Nowej Fali, 2) świadomy bądź bezwiedny zwolennik nowej prywatności. Ten pierwszy podział sprawdza się tylko na najniższym poziomie twórczej samoświadomości. Dojrzały debiutant zignoruje po prostu tę perspektywę, która jest w istocie ślepa uliczka. Pisząc książkę poetycką (czego nie należy mylić z ciułaniem wierszy na tomik), należy jednak głębiej i bardziej wnikliwie wartościować bliższą i dalszą, rodzimą i obcą, tradycję literacką. Na szczęście coraz częściej czytelnik może książki poetyckie o wyraznej koncepcji i osi światopoglądowej.

RACHUNEK SUMIENIA

Jedną z nich jest, moim zdaniem, *Koniec poezji* Tomasza Soldenhoffa. Ostro zarysowane kontury rzeczywistości społecznej, z wyraznymi znamionami konfliktów indywidualnych i zbiorowych, przechodzą w tym tomie niepostrzeżenie w łagodną meta fizykę dnia codziennego, nie pozbawioną ironii i sarkazmu, a wielkie kategorie polityczne, moralne i egzystencjalne sprowadzone zostają do intymnego wymiaru osobniczego ich przeżywania. Jedynie to bowiem może dziś zaświadczyć o ich wiarygodności, której jawnym przeciwnieństwem są masowe obrzędy obywatelskie, oparte od lat na niezmiennych scenariuszach.

W zgodnej symbiozie egzystuje u Soldenhoffa wysoce wysublimowany erotyzm, połączony z wyraźną podmiotowością jego poezji oraz utopią misji poezji w życiu jednostki i zbiorowości, od refleksji po-

zawczej i filozoficznej poprzez jej funkcje terapeutyczno-kontemplacyjne i katarskie. Erotyzm tej poezji tkwi głęboko w samym sposobie widzenia rzeczywistości. Subtelna zmysłowość znajduje precyzyjne odbicie w niezwykle wyrafinowanej formie językowej. Jeszcze szerzej rzecz ujmując: doznania zmysłowe (głód, pragnienie, ból, pożądanie) mają niewątpliwie pierwotne i elementarne znaczenie do powstawania podwalin wizji poetyckiej. Stąd też metafizycznemu zgłębianiu erotyzmu Soldenhoffa patronują na przemian Wojciech z Krynicim. Pierwszy ze swoją mistyką pici i orszaki, drugi poprzez zaskakujące usytuowanie jej w konkretnych i kontekście społecznym. Choć z poezji poprzedników wywodzi się pośrednio zasadnicze domi-

nanty światopoglądowe, to z pewnością obce im obu było i jest, charakterystyczne dla Soldenhoffa, poczucie względnej nieśmiertelności języka:

Wszystkie nieznane słowa oraz
frazologiczne zwłoki,
Ocalcie mnie przed kolejnymi
dowodami waszej
nieśmiertelności (Litania)

Język przestał być przede wszystkim instrumentem sterowania i panowania nad mentalnością jednostki. Stał się żywiołem samym w sobie, nieomal niezniszczalnym, nieśmiertelnym, a wszelkie próby indywidualnej wagi ingerencji dają rezultaty co najmniej połowiczne. Zawsze jednak powstaje ta nieodparta pokusa podporządkowania sobie (choćby na chwilę) tego żywiołu: pokusa, którą jest poezja. Poeta jest zbyt świadomy by przecenić jej siłę sprawczą, która zupełnie bezwiednie demonizuje w cytowanej przez autora wypo-

wiedzi, użytej jako motto do tytułowej części książki. Anna Karpińska, pracownica warszawskiego ELBET: *Młodego człowieka, który pracuje, ma własną rodzinę, taką poezja z wielkimi problemami egzystencji ludzkiej — odbiera po prostu chęć do życia. Znam z autopsji wiele trudnych do rozwiązania problemów życiowych, które są w stanie o wiele skuteczniej pozbawić (pracującego) i zarabiającego na rodzinę młodego człowieka chęci do życia, niż poezja, zwłaszcza ta z wielkimi problemami ludzkiej egzystencji. No cóż, doświadczenie uczy nas, że autentyczni twórcy i inni pasjonaci w stereotypowej świadomości społecznej egzystować będą zawsze w statusie maniaków bądź ekskluzywnych pięknośników.*

Poezja jako jedyny rejon rzeczywistości swobody, pomimo przecucia końca poezji, rozumianego zarówno jako obumieranie zdolności poetyckiego przeżywania świata, jak i tego przeżywania artykulacji — i fundamentalne przekonanie, wspólne dla wszystkich utworów z debiutanckiego arkusza Soldenhoffa *Weszeł* z 1977 roku, ulega teraz zasadniczemu przetwarzaniu:

Znam wspólnych mogił
to kształcie serc
Z wierszy po których długo
myję ręce (...)
(Do siebie).

Twórczość zagrożona kompromisem, poddawana raz po raz zabiegom utylitarnym, nie jest już rejonem swobodnej eksploracji, czy dynamicznego wizjonerstwa. Bywa coraz częściej, z dojmującym odczuwaniem konieczności, codziennym rachunkiem sumienia z podwójnego życia, samoobroną osobowej integralności, nie ucieczką w świat zbytnie gwałtowny, a jednak pełną determinacji walką o godność i czystość głosu.

WOJCIECH GAWŁOWSKI

Tomasz Soldenhoff: *Koniec poezji*. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, 89 stron, cena 10 zł, „Biblioteka Poetycka”.

LATO W KINIE

W kinach lato daje się we znaki bardziej, niż gdziekolwiek. Ekran zapelniają rewanż minionego sezonu i parę premierowych, komercyjnych „lokomotyw”. Jak dotąd są wśród nich tylko dwa wyjątki: „Obcy — 8 pasażer Nostromo” Scotta i „Chiński syndrom” Bridgeasa. Pierwszy jest horrorem rozgrywającym się w scenarii kosmicznej; drugi wpisuje się na długą listę filmów katastroficznych. Mimo różnic wynikających z tematu i przyjętych konwencji, jedno jest w nich wspólne: motyw zagrożenia wynikającego z nadmiernego, niepoohamowanego rozwoju techniki. Akcja pierwszego filmu rozgrywa się w nieokreślonej przyszłości i pomysł walki załogi statku kosmicznego z tajemniczym potworem — trudno powiedzieć — bardziej przestrasza, czy śmiechy. Drugi film w momencie realizacji był jeszcze całkowitą fikcją, ale po wydarzeniach w Three Mile Island, które miały miejsce 12 dni po premierze filmu (które dotyczy awarii w elektrowni atomowej) ujawnił swój „proroczy” sens. Jednak w filmie Scotta — na co zwracano już wielokrotnie uwagę — zasadniczą rolę, obok sensacyjnej fabuły, odgrywa strona wizualna, która jest w znacznej części dziełem szwajcarskiego surrealisty — Giger. Napiecie, groza, tajemniczość wydarzeń „Obcego” jest efektem niesamowitych konstrukcji technicznych (wewnętrzne pojazdy kosmiczne, obiekty na nieznanej planecie) odczuwanych, nieprzychylnych bohaterom filmu, a zestawianych z fragmentów przypominających organizm jakiegoś żywej istoty. Oczywiście, że na pierwszy plan wysuwa się tytułowy potwór — ósmy i niezbyt sympatyczny pasażer statku międzyplanetarnego, ale właśnie efekty wizualne — dla których warto przynajmniej oko na naiwności fabuły — zasłużyły w bieżącym roku na nagrodę „Oscara”. Jest to zresztą pewna, charakterystyczna prawidłowość: w wielu filmach science-fiction ostatniego okresu („Gwiezdne wojny”, „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”) można zauważyć dysproporcję pomiędzy wspaniałą dekoracją, oszalałającą, perfekcyjną techniką filmową a jej efektami, a — mówiąc dosadnie — całkowitą bezdurnością pomysłów fabularnych. Jest to jakiś objaw filmowej dekadencji lat ostatnich.

„Chiński syndrom”, także nie unikając schematyczności dramatycznej, staje się ważny

FILM

dzięki podjętemu tematu i nastawieniu publicystycznemu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wydarzenia autentyczne — rzeczywiste problemy, jakie stwarza wykorzystywanie energii atomowej w celach pokojowych (przypadki awarii w elektrowniach, w konsekwencji polityczny aspekt budowy elektrowni w Szwecji i ruchu ochrony naturalnego środowiska w RFN), okaże się, że tym razem film bezbłędnie wyraża aktualność nastrojów społecznych, która — notabene — zadecydowała o jego popularności w USA w roku ubiegłym. Krytyka filmowa podkreślała, co prawda, wyjątkowo udaną rolę Jacka Lemmona (nagrada za rolę drugoplanową w Cannes w 1979), ale nie sprawy artystyczne są tu istotne. W głównej roli w „Chińskim syndromie” występuje Jane Fonda — i to znowu jest wydarzenie ze sfery poza filmowej, które przyczyniło się do jego sukcesu na rynku amerykańskim. Jest to — jak wiadomo — jedna z postaci amerykańskiego kina najbardziej zaangażowanych w postępowe akcje społeczne. Jej udział w filmie był więc polityczną demonstracją. Mimo nieco demagogicznej konstrukcji fabularnej (a może raczej dzięki niej) film Bridgeasa skutecznie spełnia swoją funkcję interwencyjną.

W tym roku po raz czwarty Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów organizuje ogólnopolską akcję „Lato z filmem”. Co prawda w Filmowym Serwisie Prasowym czytamy: „Dla młodzieży (...) przygotowane atrakcyjne zestawienie filmów krótkometrażowych (...) ujętych w cykl: (...) Niebezpieczeństwo na drodze, Bezpieczeństwo kąpieli, Ochrona przeciwpożarowa i inne” ale poza takimi atrakcjami przewidziane są jeszcze dalsze punkty programu. Z zapowiadanych 40 premier lipcowo-sierpniowych parę tytułów zasługuje na większą uwagę. Są to z pewnością „Hair” Formana, „Jeśli maraton” Daniela, „Przybywa jeździec” Pakuli i — omówiona już na tych łamach — „Idealna para” Altmana. Poza nimi repertuar wygłąda dość przeciętnie. Mimo to, organizowanie nocnych seansów „Chińskiego syndromu” w „Baltyku” (w czerwcu) wydaje się przesadą — potwierdzoną zresztą zarówno przez reakcje widzów, jak i zasypianie operatorów (ostrożnie!).

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

P.S. Letnie rozprężenie wywołuje czasem efekty humorystyczne: 1 lipca w kinie „Halka” można było obejrzeć — jak informował plakat przed kinem — film „Jajo weża” Ingmara Bergmana produkcji Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

OPERA

W zakończeniu przed kilkoma dniami dwudziestym piątym sezonie lódzkiej sceny operowej nie brakło atrakcji przydających blasku temu jubileuszowi ćwierćwiecza.

Na zakończenie sezonu lódzkiej sceny operowej podziwiać mogli artyści *Deutsche Staatsoper* z Berlina — reprezentacyjnej sceny operowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. *Deutsche Staatsoper* ma wspaniałe i wiele już lat trwające tradycje. Otworzył ją uroczyste niemal 240 lat temu W. Deutscher Staatsoper (nazwa Niemieckiej Opery Państwowej berlińskiej scena operowa otrzymała po zakończeniu wojny) występował najwybitniejsi śpiewacy, dyrygenci i muzycy — instrumentalni. Tu w 1925 roku odbyła się prapremiera opery „Wozzeck” Albana Berga, a po zdławieniu faszyzmu — pierwsza inscenizacja „Potępienia Lukullusa” antywojennej opery Paula Dessau i Bertolta Brechta.

Repertuar *Deutsche Staatsoper* (od 25 lat pracuje ona znowu w odbudowanej z gruzów siedzibie przy Unter den Linden — ulicy Pod Lipami) obejmuje około 50 oper, baletów i oper kameralnych. Są wśród nich arcydzieła klasyki i utwory współczesne. Orkiestra Niemieckiej Opery Państwowej (berlińska Staatskapelle) prowadzi także samodzielnie działalność koncertową. Swoich słuchaczy mają koncerty symfoniczne, wiersze pieśni i koncerty muzyki kameralnej. *Deutsche Staatsoper* odbywa liczne tournée. Ten wspaniały zespół (z którym współpracuje wielu znakomitych śpiewaków z różnych krajów, także z Polski) oklaskiwano już w Moskwie, Kairze, Londynie, Budapeszcie, Bukareszcie, Pradze, Helsinkach, Sofii, Lublanie, Paryżu, Lozannie, Wiedniu, Sztokholmie i Florencji. Zespół reprezentacyjny sceny operowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej podziwiano także w większości miast RFN. *Deutsche Staatsoper* gościła także w dalekiej Japonii, a w Polsce — przed tegoroczną wizytą stającą najciekawszy chyba akcent Dni Kultury NRD w naszym kraju — prezentowała się dwukrotnie: w 1967 i 1973 roku. Tym razem na przełomie czerwca i lipca artyści *Deutsche*

Staatsoper zaprezentowali na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi, a przedtem w Warszawie, dwie inscenizacje ze swojego stałego repertuaru: „Czarodziejski flet” Wolfganga Amadeusza Mozarta i „Kawaler srebrnej róży” Ryszarda Straussa. W obydwu inscenizacjach, i to w sposób decydujący o ich wysokim poziomie artystycznym, wzięły udział polskie śpiewaczki: Izabella Nawe i Magdalena Falewicz. Izabella Nawe wystąpiła w arcytrudnej roli Królowej Nocy w operze Mozarta, podziwialiśmy ją też jako Zofię w „Kawalerze srebrnej róży”. Magdalena Falewicz zbierała w całej pełni zasłużone oklaski za kreację Paminy w „Czarodziejskim flecie”.

Obydwie inscenizacje zwracały uwagę niesłychanie starannym przygotowaniem i opracowaniem muzycznym oraz inscenizacyjnym. Błaż z nich troska o nadanie im najpełniejszego i najbardziej wiernego myślowo kompozytorów kształtu artystycznego. Ten ze wszech miar godny uznania szacunek dla tradycji i ducha utworów nie odsunął bynajmniej na boczny, z dalszych planów troski o najwyższe zainteresowanie prezentowanymi dziełami współczesnego widza. W wyniku zastosowania właściwej rozmowności złotej ścieżki udało się inscenizatorom i wszystkim wykonawcom wydobyć z tych dzieł ich uniwersalne wartości i skierować na nie uwagę dzisiejszego odbiorcy atrakcyjnym, choć nie odbiegającym, a wręcz przeciwnie — podkreślającym najistotniejsze elementy tradycji inscenizacyjnej tych dzieł, sposobem ich prezentacji. Można by powiedzieć, iż obydwie przedstawione nam inscenizacje były tradycyjne i żadna z nich do dzieł scenicznych „Czarodziejskiego flethu” i „Kawalera srebrnej róży” nie wniosła niczego nowego, myśli jednak, że takie stwierdzenie umniejszałoby te niewątpliwą zasługę twórców z *Deutsche Staatsoper*, który sprowadza się do mającego olbrzymie znaczenie w dzisiejszych, trudnych dla klasyki czasach nowatorstwa inscenizacyjnego, kulturowania najlepszych tradycji wspaniałej sztuki wokalnej.

Kształt inscenizacyjny obydwu przedstawień mówi wyraźnie, że ich twórcy dokonali świadomego i przemyślanego wyboru spośród wielu nasuwających się rozwiązań. Zarówno

inscenizacja „Czarodziejskiego flethu”, jak i „Kawaler srebrnej róży” podejmują próbę rekonstrukcji przedstawień z epoki swych kompozytorów. Nie znaczy to, iż takie właśnie inscenizacje są do teatralnej strony najdoskonalsze (późniejsze konwencje i style przyniosły teatrowi operowemu wiele ciekawych rozwiązań), stwarzają one jednak najlepsze warunki dla prezentacji sztuki wokalnej wymaganej przez obydwo kompozytorów dla pełniejszego przekazania ich dzieł. Otrzymałmy przedstawienia sprzyjające smakowaniu wielkiej sztuki obydwo kompozytorów. Ich teatralna forma nie tylko nie zakłócała naszego z nimi kontaktu, ale przez tak czyste podanie ich dzieł umożliwiła głębsze jeszcze ich poznanie.

Skomponowany przez Wolfganga Amadeusza Mozarta w 1791 roku „Czarodziejski flet” wymaga od wszystkich wykonawców niesłychanej precyzji. Ta opera nazwana przez historyków najdoskonalszym dziełem operowym, jakie zostało stworzone do niemieckiego libretta przed Ryszardem Wagnerem stawia przed śpiewakami zadania niezwykle trudne zarówno pod względem wokalnym jak i aktorskim. Artyści z *Deutsche Staatsoper* zrealizowali je z lekkością odpowiadającą finezji muzyki Mozarta. Jego trudne (o czym przekonało się już wielu inscenizatorów i śpiewaków) dzieło zostało zaprezentowane przez naszych gości jakby bez najmniejszego wysiłku. Świadomość stopnia trudności „Czarodziejskiego flethu” nie pozwala jednak wątpić w ogrom pracy włożonej w uzyskanie takie właśnie efektu. Orkiestra prowadzona przez Heinza Fricke wydobyla całą urodę opery Mozarta. Heinz Fricke nadał właściwe tempo całemu spektaklowi, czuł przy tym nie tylko nad wła-

ściwym brzmieniem orkiestry, ale także nad sorawym przebiegiem akcji sceniczej. Śpiewacy znajdowali w nim oparcie, w pracy całej orkiestry zaś — źródło pewności i spokoju pozwalającego na sprawne wykonanie najtrudniejszych zadań wokalnych. A jest ich w „Czarodziejskim flecie” owej dziwnej, filozoficznej baśni, niemało. Kunsztowne konstrukcje Mozarta przedstawili nam z równym powodzeniem i na równym wysokim poziomie wszyscy wykonawcy tego przedstawienia. Magdalena Falewicz zachwycała nas głosem o prześlicznej ciepłej barwie, który zdał się wymarzony dla wykonania partii Paminy. Ta rola w wykonaniu naszej śpiewaczki stała się prawdziwą ozdobą spektaklu. Swoich wielbicieli (a chyba wszyscy zachcemy się do

ciężkiego skupienia i siły partii kapłana Sarastro. Jego niski bas brzmiał nieskazitelnie czysto, cała zaś kreacja (zarówno wokalna, jak i aktorska) tchnęła prostotą i konieczną w tej roli powagą. Kreację ponad wszelkie pochwały wspaniałą stworzył Jurgen Freier w roli Papagena. Wokalna strona tej roli uczyniła go bohaterem przedstawienia a wysoki poziom aktorstwa sprawił, iż rola ta stała się najjaśniejszym punktem całego widowiska. Godną siebie partnerkę znalazł Freier w Brigitte Eisenfeld, ich duet z ósmą odsłoną opery Mozarta śmiało uznaje móżra za szczytowo osiągnięcie uprawianej przez nich sztuki.

Na przedstawienie „Kawaler srebrnej róży” zechcieli nasi melomani z niezwykłą ciekawością. Ta wspaniała opera, nazwana przez kompozytora komedią muzyczną (która co bardziej zagorzały wielbiciel nazywa z wielką czułością najpiękniejszą na świecie operetką) dla niezwykle skomplikowanego charakteru swej konstrukcji muzycznej bardzo rzadko trafia na nasze sceny. Niewiele teatrów może sobie dziś pozwolić na inscenizację tego dzieła. Wymaga ono zwiększonej (nie mówiąc już o tym, że doskonałej) orkiestry i tak znakomitej grupy solistów, że każdy teatr, któremu udaje się ją zebrać niemal automatycznie sytuowany jest w klasie najlepszych światowych scen. Nasze krajowe próby inscenizacji tego dzieła nie stawały się sukcesami ich twórców, wypada zatem pozzdrozić sąsiadów zza Odry nie tylko ich realizacji opery Ryszarda Straussa, ale przede wszystkim tkwiących w zespole *Deutsche Staatsoper* możliwości jej wystawienia. Bohaterka spektaklu była *Enriqueta Tares* w roli Księżnej Marszałkowej von Werdenberg. Niezwykłość to doprawdy głos: nośny, głęboki i czysty o szlachetnej barwie i ogromnej zgola skali. Artystka operowała nim z wielką swobodą. Tak pięknego piana nie słyszałam już dawno. Kultura wokalna tej śpiewaczki, obok oszalałającego materiału głosowego, wydała mi się najcenniejszym jej atutem. A przecież do zbioru atutów zaliczyć trzeba także znakomite warunki zewnętrzne i wysokiej klasy aktorstwo. Ute Trekel-Burckhardt w upisanej na mezzosopran męskiej roli Oktawiana zademonstrowała przy-

mioty podobne do tych, jakimi zachwyciła nas *Enriqueta Tares*, a *Izabella Nawe* uzupełniła ten duet dzweczącym wdzikiem i słowico zaiste brzmiającym głosem. Kto zresztą słyszał piękny tercet wymienionych tu pań z trzeciego aktu tego naprawdę wspaniałego widowiska, temu na zawsze chyba pozostanie on w pamięci jako klasyczny wprost przykład wyjątkowego zgrania głosów i nieskazitelnosci ich wspólnego brzmienia. Pięknie brzmiały także obydwie duety Oktawiana i Zofii z drugiego aktu „Kawalera srebrnej róży”, najpiękniej, by jeszcze raz każdej z pań ukłonić się w podzięce za ich kreację, wielką arię Marszałkowej kończącą pierwszy akt przedstawienia, nie umiałabym zresztą wybrać między tą arię, a wspaniałe wykonaną ostatnią częścią tej partii. Hu raganem oklasków nagrodziła publiczność *Siegrieda Vogla*. Baron Ochs von Lerchenau był w jego wykonaniu postacią niezwykłą. *Siegfried Vogel* śpiewał wspaniale, a jego aktorstwo, które osiągnęło swój szczyt w finale drugiego aktu, zasługuje na równie entuzjastyczne pochwały. Z dużej grupy pozostałych wykonawców wymienić pragnę *Gunthara Leiba* (von Faninal) i *Martina Ritzmanna*, który pięknie zaśpiewał „włoską” arię w domu Marszałkowej. Orkiestra, tak jak poprzedniego wieczoru, dyrygował *Heinz Fricke*. Grała ona z troską o czystość brzmienia i właściwe tempo spektaklu, ale bez oczekiwanego (po tak świetnym zespole) blasku i rozmachu.

Plastyczny kształt obydwu widowisk, nagradzany przez publiczność gorącymi oklaskami po każdym podniesieniu kurtyn, winien przypomnieć naszym scenografom nie tylko o koniecznej elegancji i staranności zabudowywania sceny dekoracji, ale także o nieograniczonych jak się okazuje (w naszym teatrze, panowie) możliwościach operowania światłem, które ludzom i przedmiotom nadaje ich właściwy kształt i wydaje się być nieodłącznym towarzyszem muzyki. Jej wykonanie zaprezentowane przez artystów z *Deutsche Staatsoper* z Berlina dostarczyło nam szczególnej satysfakcji. To był naprawdę wielki finał.

EWA FANKIEWICZ

WIELKI FINAŁ

DZIWNE I CIEKAWE

— Kino — sala z równymi rzędami krzeseł i białym ekranem na wprost nich, niewidoczny dla widzów projektor, mrok podczas projekcji, zmieniające się ciągi obrazów na ekranie i my, widzowie, odbierający to, co reżyser wraz z całą ekipą pomocników chciał nam przekazać.

Jest to sytuacja dla nas normalna, jesteśmy do niej przyzwyczajeni. W kinie ekran jest dla nas pewną rzeczywistością. Obrazy filmowe, zbliżone do tych, które postrzegamy bezpośrednio naszym wzrokiem bez stosowania przedłużających zmysłów (jakim jest przykładowo kamera), przemawiają przekonująco. Wierzymy w obraz filmowy tak, jak w rzeczy realnie istniejące. W czasie projekcji nie myślimy, że film został zrobiony właśnie w taki sposób, aby nie można było dostrzec jakiegokolwiek sztuczności. Blisko 80 lat filmu fabularnego zaowocowało nie tylko w szereg osiągnięć, sukcesów, doświadczeń. Przyniosło także szereg przyzwyczajeń i konwencji. Zjawiskiem bardzo powszechnym stało się traktowanie filmu przede wszystkim na poziomie treści.

Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych naszego stulecia pojawiły się próby przełamania utrwalonych przez film fabularny przyzwyczajeń. Jedne z pierwszych prób skierowane były na przekraczanie powszechnie przyjętego schematu kina, przede wszystkim przez odrzucenie konwencjonalnego prymatu treści w filmie. Wszystkie próby w obrębie kina, zwanego ogólnie eksperymentalnym, chociaż czynione były w różny sposób, koncentrowały wysiłki twórcze na sposobie filmowania podporządkowującym lub eliminującym właściwie treść. Treścią miał się stać proces powstania filmu. Jak sformułował to jeden z twórców tego nurtu, Annabel Nicolson, treścią pracy jest proces jej realizacji. Rezygnując z robienia filmów będących historiami, twórcy filmów pozakomercyjnych chcieli zwrócić uwagę na specyficzne elementy kina, przysięgając w filmach fabularnych dominacją treści.

W 1970 roku Malcolm Le Grice zrobił swój pierwszy film „Horror Film I” prezentowany również w Polsce w 1976 roku. Trzy projektory wyświetlały trzy filmy zawierające tylko serie łagodnie zmieniających się kolorów. Obraz tworzący się na ekranie podwójnej szerokości był efektem zachodzących na siebie częściowo kolorowych, gładkich obrazów. Cały pokaz składał się z cieni poruszających się w obszarze między e-

kranem a projektorami. Le Grice'a, rzucanych na ekran. Początkowo na ekranie jawiły się cienie całego ciała, później tułowia, rąk i w końcu tylko dłoni. Uzasadnione to było odległości Malcolma Le Grice'a od projektorów. Stopniowo, gdy przechodził od ekranu ku projektorom, jego cień był od dołu „obcinany”. Z powodu fizycznej odległości między projektorami i przemieniającymi się kolorów poszczególnych filmów, obraz tworzony na ekranie był złożeniem trzech różnych cieni tej samej osoby. Ta bardzo prosta realizacja dotyczyła kilku spraw: realności i skali ekranu, istoty ruchu, natury cienia. A są to elementy towarzyszące wszystkim projektorom filmowym.

Zachowując wszystkie elementy kina William Raban zaprezentował w 1973 roku londyńskiej publiczności serię, która pozwalała widzom uświadomić sobie szereg aspektów kina. Film był zatytułowany „2'45”, tyle bowiem czasu trwa projekcja taśmy filmowej o długości 100 stóp, którą to długość William Raban wyznaczył do swej realizacji. Zamierzenie Rabana przewidziane było na, co najmniej, kilka projekcji, następujących po sobie dzień po dniu. Każdego dnia publiczność, wpatrzona w ekran, filmowana była z tyłu. Pierwszego dnia publiczność patrzyła na pustą ekran, podczas gdy William Raban dokładnie podawał tytuł, datę, miejsce pokazu filmu, filmując jednocześnie pełną odpowiedź, czym jest „2'45”. Publiczność następnych pokazów oglądała już nie pustą ekran, ale film z pierwszego pokazu, później film filmu pierwszego pokazu, itd. Seria tych pokazów pozwalała na obserwację, zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz, sytuacji typowo kinowej — widz wpatrzony w ekran. W czasie projekcji „2'45” widz był zarówno obserwowanym i obserwowanym, był obecny na widowni i na ekranie, przełamując tym samym linię demarkacyjną funkcjonującą w każdym kinie, dzielącą kino na całkowicie odrębne dwa obszary: widownię i ekran. Jednocześnie magia białego ekranu, potencjalnego obrazu, funkcjonowała przez wszystkie kolejne projekcje, widoczna w centrum ekranu kolejnych filmów, powoli jednakże zanikając w oddaleniu.

Zdecydowanym przełamaniem utrwalonej tradycji kina sytuacji widza siedzącego vis-a-vis ekranu był film Anthony'ego McCalla „Line describing a Cone” („Linia opisująca stożek”) z 1973 roku. Film ten, którego całą „treścią” był powoli powstający, w całej przestrzeni sali kinowej pusty stożek światła, wymagał ciągłej zmiany perspektywy oglądania. Widz mógł zobaczyć ów stożek

jako całość tylko pod warunkiem, że będzie go oglądał z różnych miejsc sali kinowej. Takie wieloperspektywiczne oglądanie filmu pozwalało na skonstruowanie przez oglądającego obrazu przestrzennego. Widz zatem został objęty przestrzennie przez sytuację, która tylko w przybliżeniu była kinową. Realizacja ta radykalnie

przełamwała obszar odrębności publiczności i jej bierności podczas projekcji pociągając ją do aktywności zarówno fizycznej jak i mentalnej — stożek był widoczny dopiero po obejrzeniu strumienia światła z kilku perspektyw, a wielość pojedynczych obrazów widz sam musiał złożyć w kształt stożka. Jednocześnie sytuacja

która zaistniała podczas projekcji, nakazywała rezygnację z dwuwymiarowego obrazu na płaszczyźnie ekranu na rzecz trójwymiarowej „rzeźby” świetlnej; ujawniając tym samym decydującą rolę projektora.

Tę znaczącą rolę projektora podjął także Annabel Nicolson w swoim „Reel Time” („Czas filmu”).

Podczas tego pokazu Nicolson siedział wśród publiczności na sali przy maszynie do szycia. Długa pętla filmu — z obrazem Nicolsona przy maszynie do szycia — po przejściu przez projektor przechodziła pod stopkę maszyny obsługiwanej przez Nicolsona i następnie po przyszytych wracała do projektora. Dziurki zrobione przez igłę maszyny początkowo jawiły się na ekranie jako dziury uczynione przez wielkie koło zębate. Powtórne przyszywanie taśmy zwiększa dziury, zarówno na taśmie, jak i w o wiele większym powiększeniu — na ekranie, aż któreś kolejne przyszywanie niszczy taśmę całkowicie. Jednocześnie, przez cały czas pokazu, drugi projektor swym silnym światłem tworzy za pomocą cieni na sąsiednim ekranie obraz całej sytuacji — Nicolsona obrabiającego taśmę filmową po przejściu przez projektor i jej powtórne tam przechodzenie. To zestawienie dwóch obrazów: jednego pokazującego przyczynę i drugiego ujawniającego efekt, jest uwidocznieniem relacji między taśmą filmową, projektorem i obrazem na ekranie.

Przełamaniem konwencji ekranu i jednocześnie pełnym wykorzystaniem przestrzeni kina zainteresował się Tony Hill, kreując obrazy poprzez prostą strategię gry cieni. W swym bardzo efektownym „Point Source” („Wskazanie źródła”) Tony Hill kładzie tuż przed ekranem, w odległości około jednego metra, trzymając przed sobą jedną żarówkę o bardzo intensywnym świetle. Poruszając w przestrzeni między żarówką a ekranem różnymi przedmiotami, takimi jak sitko do herbaty, luźno pleciony kosz wiklinowy, itp., tworzy przeróżnego kształtu cienie, nie tylko na ekranie, ale i na ścianach, podłodze, suficie, a także na widzach. Opanowując tą grą cieni całe kino. Ujawnia tym samym publiczności sens luzu i ruchu, dosłownie pociągając za sobą widzów w tę iluzję.

Realizacje te, a także szereg innych, których tu nie wspominałam, wykraczały zdecydowanie poza tradycyjnie pojmowane kino. Ich wspólną cechą było ujawnianie specyfiki kina rozumianego jako całość filmu, projekcji i procesu odbioru. Twórcy filmowi tego nurtu celowo odrzucili narrację. Wraz z odejściem od narracyjności wiąże się także od-

wrót od linearności. W przypadku filmów fabularnych, aby film był zrozumiały, linearność musi być zachowana. Często, zwłaszcza w filmach traktujących o wydarzeniach w różnym miejscu, w różnym czasie, linearność prosta jest niemożliwa, niemniej jednak zachowane są zasady linearnie zbudowanego przekazu w obrębie poszczególnych sekwencji. W filmie eksperymentalnym linearność nie jest konieczna. Często cały film jest tylko jedną krótką wypowiedzią.

Filmy eksperymentalne, w przeciwieństwie do większości fabularnych, wymagają zwiększonej aktywności odbiorcy. W przypadku filmu, w którym decydującą rolę gra narracja, zachodzi sytuacja zerzenia dwóch przeciwnych stron. Po jednej stronie stoi reżyser, aktorzy i cała ekipa pomagających, którzy pragną przekazać coś językiem filmowym. Widz natomiast, stojący po przeciwnej stronie, oczekuje tego przekazu i stara się jak najpełniej odebrać.

Twórcą filmowy z kręgu kina eksperymentalnego aranżuje sytuację, nie zamierzając narzucać swojego przekazu odbiorcom. Sytuacja, którą komponował, jak na przykład w „Klinie rozszerzonym”, ma na celu tylko uwypuklenie pewnych aspektów kina. Odbiorca tutaj swoją aktywnością sam konstruuje przekaz. Ważna staje się w tym momencie „umiejętność patrzenia”, a także umiejętność rezygnowania z konwencji i zdolność przekraczania przyzwyczajeń wzrokowych. A zatem, w przypadku realizacji „kino rozszerzonego” zmniejsza się rola twórcy na rzecz zwiększenia aktywności odbiorcy. Często twórca filmu stoi prawie po tej samej stronie, co odbiorca (w przytoczonych przykładowo filmach Tom Hill w „Point Source” czy Annabel Nicolson w „Reel Time”). Będąc twórcą sytuacji aranżowanej przez siebie, jest w niej jednocześnie odbiorcą.

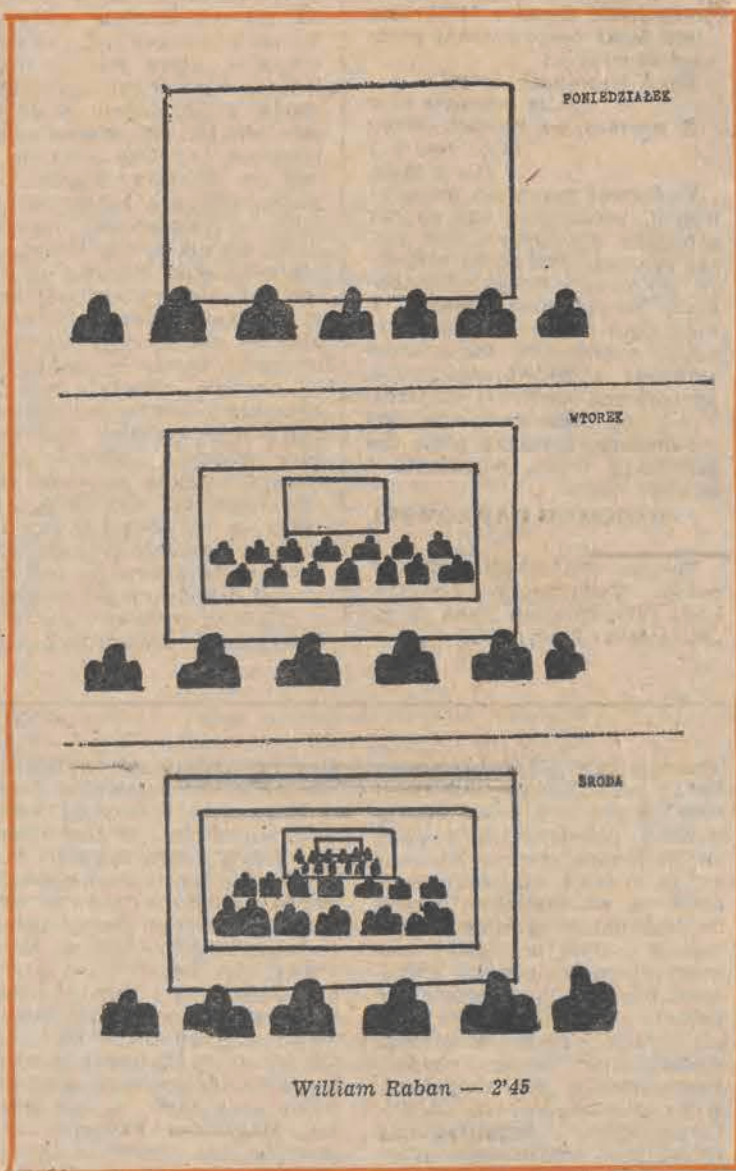
Twórcy filmów z kręgu „kino rozszerzonego” dokonywali swych realizacji sięgając po środki spoza kina. Zamierzając ich są bowiem pewną egzemplifikacją podjętej już na początku lat siedemdziesiątych aktywności skierowanej na przełamywanie barier między mediami i barier między formami wynikowymi skonstruowanymi jednym rodzajem środków, traktowanymi jako produkty odrębne i skończone.

„Kino rozszerzone”, bardzo aktywne do połowy lat siedemdziesiątych, ustępuje obecnie miejsca nowym, bardziej precyzyjnym, bardziej analitycznym realizacjom. Kino bowiem jawi się jako niewyczerpane źródło i pomysłów i problemów.

PRZEKRACZANIE

KINA

BOGNA STAWICKA



Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Soja uprawia się już w centrum Paryża w XIII okręgu stolicy, naprzeciwko wspaniałego przeszklonego gmachu, wznosi się zwykły barak — nieduży mieściła się tam wędliniarnia — skąd każdego ranka wywozi się trzy tony kiełków soi.

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Wewnątrz budynku, w dwóch ciemnych salach o stałej temperaturze, stoi szeregiem około stu wiel-

trudniącą rodzinę w charakterze bezplatnej siły roboczej. „Oni obniżają ceny” — mówi młody Chińczyk.

To Pan zaczął pracować w 1975 roku. Kiedy po raz pierwszy zaprezentował swe kiełki na targu w Rungis, ludzie wytrzeszczali oczy ze zdumienia. „Spróbujcie” — zaproponował od niechcenia młody producent. Dzisiaj zaopatruje on nie tylko targowisko w Rungis, ale także wytwórnię konserw i nawet supermar-

żaden jego produkt nie zawiera substancji chemicznych.

Jest jednak druga strona medalu, a mianowicie przepis, który nakazuje zastąpienie słowa „soja” nazwą „mungo”. Odmiana dająca kiełki, czyli soja zielona („mungbean” po angielsku) różni się bowiem od soi brązowej — prawdziwej — którą sprowadza się ze Stanów Zjednoczonych na paszę dla bydła i której człowiek nie może spożywać w stanie surowym ze względu na zawarte w niej niestrawne składniki. To Pan pokazuje pudełko makaronu chińskiego, który nosi obecnie nazwę „produktu na bazie strączków mungo”. Młody producent jest nieco zaniepokojony. Klientela francuska przyzwyczaiła się już bowiem do nazwy „soja”. Co się zaś tyczy sera czy mleka sojowego, to w myśl ustawy z 1934 roku, nie wolno tymi nazwami określać produktów pochodzenia zwierzęcego. Być może jednak w ramach EWG przepis ten będzie można zmienić...

Przenieśmy się teraz do restauracji przedsiębiorstwa Rhone-Poulenc, gdzie kucharz podaje od czasu do czasu zapiekanki z soi o smaku ryby, przyrządzone z małych, jedno-centymetrowych kostek o konsystencji i smaku ryby lub mięsa, które wkłada się do takich potraw, jak pizza, quiche (rodzaj słonego ciasta) i wszelkiego rodzaju siekanin. Kostki te eksportuje się już do Hiszpanii i Wielkiej Brytanii.

Ten udoskonalony produkt uzyskuje się za pomocą superkoncentratu prawdziwej soi (90 proc. protein) produkowanego fabrycznie. Następnie stosuje się metodę pajaka czyli

„przedzie” się proteiny za pomocą maszyny dostarczonej przez przemysł tekstylny. W ten sposób roślina nabiera cech mięsa zwierzęcego. Jedząc to ma się wrażenie, że się konsumuje mięso. Smak jest trochę mdły, dlatego też do produktu dodaje się aromatyczne ekstrakty roślinne, a czasami nawet tłuszcz zwierzęcy. Ponieważ soja jest raczej biała (używając protein słonecznika można sporządzić „stek niebiesko-zielony”), dodaje się nieco karmelu, aby potrawa nabrała wyglądu gotowanego mięsa.

W firmie Rhone-Poulenc nie nazywa się tego „namiastką” mięsa. To nowy produkt — mówi pan Bernard Favre, kierownik tego sektora produkcji. — Jest on zoptymalizowany pod względem odżywczym i ma wyrównać w organizmie skutki odżywiania zbyt bogatego w cukier i tłuszcz zwierzęcy, powodujące choroby układu krążenia. Jeśli ten nowy produkt ma smak mięsa, lub ryby, to tylko dlatego, aby nie zrażać konsumentów, przyzwyczajonych do tradycyjnych doznań smakowych. Trzeba tylko jeszcze poczekać na genialnego wynalazcę, który wynajdzie odpowiednie słowo, aby spersonalizować ów produkt w oczach konsumenta, tak jak to niedługo uczyniono z margaryną.

Być może nawet powstaną kiedyś nowe fabryki, gdzie całe woły będą „mielone na proszek” i umieszczane w „tkaninie” sojowej, co da złudzenie kawałków mięsa. Nie będzie już odpadów. Ale czy prawo maksymalnie wydajności będzie dostatecznie przekonujące dla zamożnego konsumenta?

Na razie wciąż daleko do tego. Proteiny soi jeszcze niesmiało torują sobie drogę, co umożliwia lepsze ich konserwowanie. Niektórzy piekarze wypiekają chleb z soją. Cukier nie jest jeszcze nic podobnego nie wyrabiają.

Natomiast coraz bardziej popularny staje się stek z soją. Już trzy lub cztery firmy sprzedają siekane steki zmieszane z soją (w 30 procentach). Firma Socopa eksportuje takie steki na Bliski Wschód, robiąc konkurencję Amerykanom i Duńczykom. W wielu domach towarowych we Francji można nabyć „Hamburgel”, czyli mięso wołowe zawierające 18 procent substancji roślinnych. Według opinii zainteresowanych kół, wszyscy będą to produkować. Obecnie już 5 do 10 proc. mrożonych steków siekanych zawiera substancje roślinne.

Dla konsumenta pojawienie się soi oznacza rewolucję w zakresie odżywiania. Ta roślina wtargnęła do nas, jak niedługo w XVIII wieku ziemniak. Co więcej, soja się udokonała. Przemysł potrafi bowiem wydobywać proteiny z roślin. Co się tyczy innych warzyw strączkowych jak fasola, soczewica itp., które mimo swej ogromnej zawartości protein były ostatnio zaniebdywane gdyż oskarżono je o powodowanie wzdęć i niestrawności — to być może nadszedł dla nich czas odwetu. Obecnie można wyodrębnić najlepszą część rośliny i uczynić ją bardziej apetyczną. I tak oto pojawia się nowe pożywienie, zarówno naturalne, jak i udoskonalone. Trzeba tylko jeszcze przezwyciężyć uzasadnione niekiedy opory konsumentów.

(„Le Monde Dimanche”)

EKSPANSJA SOI

kich kadzi. Dno ich wysięcają zielone nasiona (importowane z Tajlandii), które wypuszczają kiełki. Zasila się je tylko wodą. Po upływie pięciu dni z kadzi wyrasta cała dzungla roślinek, długości kilku centymetrów, które pną się jedne na drugie, osiągnąwszy wkrótce metr wysokości. Gdy wysuwają się poza brzegi kadzi, produkt jest gotowy. To bardzo proste, ale nie wymaga ostrożności i zabiegów! Jeśli w pomieszczeniu jest za gorąco, soja gnije. Jeśli jest za dużo światła — żółknie. To Pan, młody Chińczyk z Wietnamu, który kieruje tym przedsiębiorstwem noszącym nazwę Sojato, zamyka swój warsztat pracy na cztery spusty — nie chce zdradzać swych tajemnic. To Pan o-bawia się konkurencji uchodźców, którzy osiedlają się w Paryżu i za-

kety. To Pan ma ciągle nowe pomysły, ostatnio np. wypróbowuje ziarną soi o smaku kakao. Jego dyrektor techniczny, pan Lacombe, otrzymał niedawno od pewnego holenderskiego towarzystwa lotniczego zamówienie na „całkowicie wegetariański” zestaw dań dla pasażerów. Obecnie przyrządza sery z soi — białe sery przypominające placki, które jada się wszędzie w Chinach. Niedługo będzie można nabywać je w szklanych słoikach, aromatyzowane ziołami lub owocami, po mniej więcej takiej samej cenie jak zwykłe sery, przy mniejszej zawartości tłuszczu. To Pan przygotowuje również mleko sojowe, które ma tę zaletę, że nie zawiera mikroorganizmów chorobotwórczych. Młody Chińczyk podkreśla, że

— A teraz proszę państwa — zapowiada z namaszczeniem prowadząca spotkanie — specjalnie dla państwa zaprezentuję swój niewątpliwie atrakcyjny program, tylko i specjalnie dla zaproszonych tu miłych gości, przed państwem już za chwilę (tu mała przerwa, jako że nie przygotowano na czas taśmy z nagraniem), na estradzie (znowu zwłoka, taśma wprowadziła się znalazła, tylko że akurat nie ta, której potrzebowano), dla wszystkich zainteresowanych...

Uff!!! Wreszcie udało się, program trwa...

W taki oto wyrafinowany sposób rozpoczął się jeden z ostatnich przeglądów twórczości rozrywkowej — serwowanej następnie w lokalach z tzw. programem artystycznym. Imprezy te — odbywające się tradycyjnie na początku każdego miesiąca — gromadzą w głównej sali jednej z łódzkich restauracji kilkadziesiąt osób, z czego bodaj tylko czwarta część ma cokolwiek wspólnego z gastronomią, handlem lub działalnością pokrewną. Reszta? Hm, zdaje się, że najchętniej określić ich można — nie uwielbiając zresztą nikomu — mianem kibiców.

Myli się jednak ten, kto upatrywałby w przeglądzie jakiejś weryfikacji czy sprawdzianu. Jest to właściwie il tylko zwykła formalność, z czego wymienienie zdają sobie sprawę wszyscy tu obecni — łącznie z wykonawcami trafiającymi potem w komplecie do nocnych lokali. Wprawdzie mówiono mi, że kiedyś nie dopuszczano do dalszej „produkcji” pewnej pani, ale wiedzieć musiało to wydarzyć się rzeczywiście dawno, jako że nikt nie pamiętał żadnych bliższych szczegółów.

Chcąc bliżej poznać drogi i ścieżki jakimi biega podkaszana muza spod znaku schabowego i „wyborowej” — należy w tym miejscu przedstawić stan posiadania gastronomii łódzkiej w tej dziedzinie. Dysponuje ona siedmioma lokalami tego typu — w całym, ponad 800-tysięcznym mieście. Oczywiście chodzi tu o lokale, które mają w jadłospisie działalność rozrywkową — „Casanova”, „Europa”, „Halka”, „Kaskada”, „Natasza”, „Sim”, „Tivoli”. Zaopatrzanie estradowe — jeżeli tak można powiedzieć — wzięła na swoją głowę „Estrada Łódzka”. I obowiązek jak by na tę sprawę patrzeć — to właśnie ta ostatnia programy nocne firmuje własnym szyldem.

Ale może wróćmy jeszcze na chwilę do przeglądu. Najpierw — używając terminologii konferansjerki — wystąpi niewątpliwie sympatyczny wykonawca śpiewający całkiem udanie pod Krzysztofa Krawczyka. Zaraz potem odbył się taniec z piórami i zaprezentował się kwartet akrobatów, którzy nie mogli rozwinąć się w piramidę z tej prostej przyczyny: że lokal okazał się o pół metra za niski. Przy suchotnicznych brawach prezen-

tował się człowiek-orkestra (taniec, śpiew, humor itp.), a zaraz po nim niezwykle sympatyczne wrażenie pozostawił numer pt. „Bestia” polegający, z grubsza rzecz biorąc, na tym, że z odrzucającej mały wpadającej na scenę przy akompaniamencie dzikiej muzyki, wylania się potem — wraz ze zmianą rytmu — dziewczyna, która obok widocznego przygotowania choreograficznego była na dokładkę — po prostu ładna.

Obserwujemy dalej. Próbką

ceny poszczególnych bloków programowych — tańszych do stycznia i jak twierdzą fachowcy — po prostu lepszych.

W odpowiedzi można było usłyszeć, że taśma została natychmiast przegrana na nowo, a jeżeli idzie o koszty, to stawki te są zgodne z obowiązującymi przepisami. Zresztą — dodali zaraz (żeby nie było) przedstawiciele show businessu — marża jest naliczana i tak poniżej górnej wartości przewidzianej także w przepisach. Co do jakości progra-

mów, który z niejednego pieca gastronomicznego chleb jadł — tak zwane ciekawostki. A zebrało się ich przez te wszystkie lata bez liku. Oto kiedyś pewien mocno już zawiąany obywatel podczas striptizu wyobraził sobie nagle, że jest partnerem pani prezentującej swe wdzięki. I nim ktokolwiek zdążył zareagować (kelnerzy na wszelki wypadek zawsze „mają oko” na sale) — wskoczył nagle na parkiet i w mgnieniu oka pozbył się swego ubrania. Całkowicie gołego

Wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie nie uda się pogodzić na gruncie łódzkim wszystkich racji, jakie towarzyszą artystycznej działalności w lokalach gastronomicznych. Przede wszystkim pamiętać trzeba o klientach, bo to w końcu dla nich organizowana jest ta działalność. Jeżeli jeszcze są to ludzie, którzy przyszli do lokalu na kolację i przy okazji stali się widzami — to sprawa jest w miarę prosta: spodoba się — przyjdzie jeszcze raz i może zachę-

— sztuką byłoby zbilansowanie tego w taki sposób, by zanotować plus po stronie przychodów.

Z kolei „Estrada Łódzka” rzeczywiście angażuje wykonawców, na których może sobie pozwolić w ramach kwot dysponowanych przez zleceniodawcę.

A może spróbować wyjść z tej kłopotliwej sytuacji poprzez utworzenie lokalu o ściśle limitowanej ilości miejsc i np. zapisach na noce programy artystyczne z prawdziwego zdarzenia? Poza tym — wiążąc się z tym jeszcze jedna kwestia: gdzie „stoi” napisane, że jak program nocny — to

STRIPTIZ

nocnej rozrywki

odholowano zaraz na zaplecze — ale i tak zamieszania było co niemiara. Innym znów razem pani prezentująca program z sygnalizacją iskrzy żagwami, o mało co nie puściła z dymem całego lokalu — płonące firanki gasić musiały wezwana straż pożarna.

Powie ktoś, że nie można sobie wyrobić zdania o poziomie tych programów po jednej tylko prezentacji. Proszę bardzo — oto „menu” z następnego przeglądu. Najpierw taniec topless, tragiczna próba wykonania głośnego przeboju Edith Piaf pt. „Non, je ne regrette rien”, znowu człapiący topless, nieśmiertelna „Kalinka” w sosie operetkowym, powtórnie chodzony rozbierany i jedyny efektywny numer programu, najgorzej zresztą oklaskiwany — tancerka z pionącym kagankiem. Dalej iluzja, śpiew, taniec, przecinanie piłą kobiety w skrzyni i znowu — w tym samym wykonaniu — niezwykle udany taniec z wachlarzami pod oryginalną muzykę rodem z Japonii.

Kim jest wykonawczyni prezentująca, zdaniem obecnych, najciekawsze propozycje artystyczne? W środowisku wykonawców tej branży znają ją wszyscy, niejedną zresztą lokal chciałby mieć ją u siebie na dłuższym kontrakcie. „Jadga” — bo taki pseudonim obrała sobie — tańczy w nocnych lokalach już od czterech lat. Zarabia rzeczywiście stosunkowo dużo, ale ci, którzy patrzą jedynie na pieniądze, zdają się chyba nie wiedzieć, ile dodatkowych kosztów trzeba ponieść, by zapewnić sobie dobrą muzykę, uszyć kostium, zamówić buty, opracować — pod kierunkiem fachowca — taniec ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, opłacić hotele, takówki itp. — a na dokładkę zająć się jeszcze domem (tak, tak)...

A co najbardziej przeszkadza w pracy? Przede wszystkim podpiła widownia i mało wybredne komentarze oraz powszechna opinia, że każda ze striptizerek tylko czeka, by na nią kiwnąć palcem...



„Niejedną lokal chciałby ją mieć u siebie na dłuższym kontrakcie”.

ci jeszcze innych. Natomiast „zabawowicz”, którzy w krótkim czasie zaczynają „orbitować” — psują wszystko żeby nie wiem jak starannie przygotowanie i opracowanie. Raz płaczą na widok piosenki, która z kimś im się kojarzy — przez co ryczą „bis” do białego rana, a znowu następnego wieczora na gwałt chcą wpiływać się w książkę — a od rana zapowiadają wizytę „gdzie trzeba”.

Gastronomia — i to jest oczywiste — chciałaby wszystkim swoim gościom zaszerować kawałek godziwej rozrywki, ale znowu jej zapędy są hamowane limitowanymi kwotami, które na ten cel może przeznaczyć. Nie sztuką jest w tym przypadku zakontraktowanie znanych wykonawców

zaraz musi być striptiz? Przykłady uczą (np. w Katowicach), że można zrobić całkiem udany blok estradowy eliminując zupełnie „golasy”. Tak, tylko że tam nad opracowaniem takiego występu pracuje autentyczny sztab ludzi.

Póki co skazani chyba jesteśmy na prezentowany na wstępie model gastronomicznej rozrywki. I chyba najlepiej po prostu przyzwyczaić się do rozdraganego ciała artystki człapiącej po parkiecie z wdziękiem słońca, powiewającej wylasytą boą z piór oraz prezentującej w miejscu, gdzie kończą się plecy, fioletowy siniak wielkości podeszwy buta numer siedem i pół...

MARIUSZ SŁOMA

MOLIER

I... FAŁSZERZE

miesiąc przed terminem, tłumnie wala na spektakl, traktując bileterską obsługę i nadwierzając drzwi do przybytku Melpomeny, ale jeszcze dopuszczają się poważnego wykroczenia przeciw prawu, byle tylko zobaczyć ulubiony teatr, sztukę, aktorów? Na dodatek miesząc do przestępstwa poważną państwową firmę...

Oto szczegóły. Rzecz miała miejsce w Przemyślu. Miasto owe znane jest powszechnie z wielkiego umiłowania teatru. Bogate są też w nim tradycje amatorskiego ruchu teatralnego, sięgają bowiem aż po schyłek XVII stulecia. Z licznych, efemerycznych

grup teatralnych, w Przemyślu właśnie uformował się najstarszy w Polsce, a bodajże i w Europie, słynny teatr amatorski „Fredreum”, który w ubiegłym roku obchodził jubileusz 110-lecia. Działalność w dalszym ciągu z ogromnym powodzeniem, jako że przemyslańskie bardzo kochają teatr. Można sobie więc wyobrazić, co dzieje się w tym mieście, gdy przyje-

grup teatralnych, w Przemyślu właśnie uformował się najstarszy w Polsce, a bodajże i w Europie, słynny teatr amatorski „Fredreum”, który w ubiegłym roku obchodził jubileusz 110-lecia. Działalność w dalszym ciągu z ogromnym powodzeniem, jako że przemyslańskie bardzo kochają teatr. Można sobie więc wyobrazić, co dzieje się w tym mieście, gdy przyje-

dają doń teatry zawodowe o uznanej renomie.

Prawdziwym świętem dla przemyslań jest od wielu już lat każda Przemyska Wiosna Teatralna, mająca miejsce co roku w pierwszej dekadzie czerwca, na stałe wpisana do kalendarza wojewódzkich imprez kulturalnych. Organizowana od 1972 roku przez Wojewódzki Dom Kultury, zawsze z wielkim rozmachem, przy ogromnym zaangażowaniu działaczy z dyr. WDK Wojciechem Władysławem na czele, cieszy się obywatelskim powodzeniem nie tylko u przemyslań, ale i wśród licznej rzeszy

turystów, tak rodzimych, jak i zagranicznych.

Nie dziw to, skoro biorą w niej udział takie „firmy”, jak choćby w tym roku — warszawski Teatr Romantyczny, krakowski Teatr „Bagatela”, Teatr Śląski, czy łódzki Teatr Nowy, uczestniczący w Wiosnie od 1975 r., a cieszący się największą popularnością.

W tym roku Teatr Nowy wyjechał 5 czerwca na kolejne gościnne występy na ziemi przemyskiej. Tym razem z głośną inscenizacją znanej komedii Moliera „Lekarz mimo woli” w reżyserii Bogdana Baera, ze scenografią Iwony Zaborowskiej. Przypomnijmy, że reżyser sztuki otrzymał z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru doroczną nagrodę Srebrnego Pierścienia, przyznawaną przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, zaś przedstawienie „Lekarz mimo woli” zostało uznane w plebiscyście „Głosu Robotniczego” za najpopularniejszy spektakl roku. Dodatkową atrakcją był fakt, że właśnie na ziemi przemyskiej wypadało jubileuszowe, już 150 przedstawienie „Lekarza”.

Na to właśnie przedstawienie przemyslań czekali z ogromną niecierpliwością. Wszystkie bilety rozszły się mięgiem na kilka tygodni przed terminem (po 100 zł), nawet dla poniekąd oficjalnie brakło zaproszeń, a bardzo wielu chętnych musiało odejść od kasy z przyszłowiowym kwitkiem. Zbyt wielu. I tak doszło do afery, jakiej nie zanotowały jeszcze kroniki teatralne w Polsce!

Oto bowiem, kiedy okazało się, że

nie dla wszystkich starczy wejściówek, przemyslań przemyslań wpadli na szczególny koncept. Natychmiast zostały uruchomione wszystkie możliwe tzw. chody, dojścia, znajomości i... w drukarni, która tłoczyła karnety uprawniające do wejścia na przedstawienie, dodrukowano jeszcze, na oryginalnych matrycach, aż zupełnie nielegalnie, sporą liczbę tzw. nadbitek, które błyskawicznie rozprowadzono po znacznie zawyżonej cenie. Owe karnety różniły się od autentycznych jedynie tym, i to w niewielu tylko przypadkach, że cyfra rzędu na widowni była wypisana znakami rzymskimi, a nie arabskimi. Można sobie wyobrazić, co się działo na widowni i jakie ogromne kłopoty mieli organizatorzy z opanowaniem tej zgola wyjątkowej, a wielce skomplikowanej sytuacji.

6 czerwca 1980 r. Teatr Nowy dał dwa przedstawienia „Lekarza”. Na widowni komplety, 1200 osób. Od rozpoczęcia spektaklu — brawa przy otwartych kurtynach. Kiedy zaś na scenie ukazał się Bogdan Baer, z wirtuozerią grający Geronta, oklaski prawie nie młyły aż do końca przedstawienia. Na zakończenie — wiązanki, bukiety, ogromny, wspólnie ukomponowany koszyk kwiatów i kaskady skandowanych braw przez prawie pełny kwadrans. Żaden z występujących tu w tym roku teatrów nie był tak gorąco przyjmowany. Tak to przemyslańskie fetowały swoje teatralne święto, a zespół Teatru Nowego przeżywał swój wielki dzień podczas przemyskiego tournée.

Nie zakończyło się ono zresztą na samym Przemyślu. 7 czerwca Teatr

Nowy dał kolejne przedstawienia w Jarosławiu, a 8 czerwca w Przeworsku, w ramach uroczystości obchodzonych Dni tego miasta, którego historia dobiega sześciu wieków.

Tutaj z kolei Geronta grał z właściwym sobie wdziękiem Ryszard Stogowski, rodem właśnie z Przeworska, bardzo więc gorąco przyjmowany przez rodaków nie tylko podczas przedstawienia, ale i po, na uroczystym bankiecie, wraz z całym zespołem. Gwiazdą tego wieczoru był oczywiście Geront-Stogowski, ale tematem numer jeden — przemyska afera teatralno-kryminalna, o której wieści tymczasem, natychmiast podchwytane przez zachwyconych ową „perełką” dziennikarzy, poszły w szeroki świat.

Tak więc łódzki Teatr Nowy powrócił z gościnnymi występami na ziemi przemyskiej w szczególnej glorii. Jak bowiem np. dla artysty-malarza największym bodaj wyróżnieniem jest kradzież jego dzieła, tak dla artystów Teatru Nowego takim dowodem najwyższego uznania może być owa niezwykła afera, jaka nie przydarzyła się jeszcze żadnemu teatrowi.

Niezwykła jest także pointa tej niecodziennej historii. Otóż władze przemyskie umorzyły dochodzenie w sprawie fałszerstwa teatralnych karnetów. Karać za tak niezwykle umiłowanie sztuki teatru? To przecież nie uchodzi — powiadają przemyslań.

ZBIGNIEW S. NOWAK

ODGŁOSY 9

DOM NAD OLZĄ

(korespondencja z CSRS)

Dalszy ciąg ze str. 1

— jak powiada — budował jego dziad. Ze szkoły prowadzi do polskiego przedszkola i nowej świetlicy PZKO.

— Ta stara była już za mała i niezbyt reprezentatywna — mówi. — Takich domów kultury istnieje na Śląsku Cieszyńskim 160. Większość z nich została zbudowana po wojnie — społecznymi siłami. Chcemy w nich wychodzić naprzeciw wszystkim potrzebom towarzyskim i kulturalnym — wyjaśnia prezes. — Nawet takim, które skupiają stosunkowo niewiele osób. Jako przykład wymienię Koło Emerytowanych Nauczycieli. W wielu wsiach, tam, gdzie świetlice PZKO są jedynymi placówkami kultury, korzystają z nich zarówno Polacy, jak i Czesi.

O Władysławie Niedobie, nim trafiam do Jabłonkowa, starej podbeskidzkiej wsi, dziś pokazanej osady, słyszałem wiele barwnych opowieści.

Do Niedoby droga wije się i kluczy wśród domów.

— Jo, strasznie dużo się tu buduje, pomańszone wszystko — przytakuje napotkana kobieta i tłumaczy drogę językiem, w którym polski, czeski i gwary rowy dodatek wymieszane są dokumentnie. — Ja się w polskiej szkole uczyłam.

Nowy dom Niedobów stoi na wysokim brzegu Olzy, dokładnie w tym samym miejscu, w którym wymarzył go sobie „gorolski król”, gdy jako 8-letni chłopak pasał tutaj owce...

Teraz wita z polską gościnnością na progu, nad którym nieżyjący już śląski poeta Henryk Jasiński napisał:

Tu jest mój dom
Tu jest mój świat
Mój wierny sen
Mych marzeń kwiat
Tu patrzeć chcę
W mój Olzy nurt
Tu wypatrywać
Gości u wrót.

Z okien tego — budowanego przez 10 lat i z początku trochę „po zbrojnicku” — domu rozciąga się piękny widok na Beskidy, a jego wnętrzu kryje wiele pamiątek związanych z długą działalnością Jury spod Grunias. Zaraz po wojnie założył Niedoba pierwszy w tamtych czasach i czynny dotąd zespół „Gorol”, z którym objechał dziesiątki podbeskidzkich miast i wsi. W roku 1951 współtworzył Scenę Polską przy Teatrze Cieszyńskim. Był tam aktorem i reżyserem.

67-letni dziś artysta znany jest z gawęd i soczystych anegdot, które sam układa i wykonuje. Corocznie organizuje w Jabłonkowie „Gorolskie Święto”, którego kulminacyjnym punktem jest wjazd Jury w odświętnym, góralskim stroju na białym koniu i patriotyczna mowa do górali. Koń ma już zresztą 17 lat i trzymany jest właściwie tylko po to, by raz w roku mógł ponieść „beskidzkiego króla”.

— A na jutrzejszy festiwal — mówi Władysław Niedoba —

przygotowałem z brzoźowych drzewek dwa wielkie „maje”. Zatkna je moi gorole przed trybuną honorową. Nie zabraknie też w tym pochodzie naszego tańca i muzyki...

Nazajutrz — 25 maja 1980 r. odbył się w Trzyczcu festiwal. Zorganizował go Polski Związek Kulturalno-Oświatowy już po raz dziewiąty. Tym razem włączył się on w cykl imprez, organizowanych na Śląsku Cieszyńskim z okazji 35-lecia wyzwolenia Czechosłowacji.

Trzyczec, miasto graniczące z województwem bielskim — w powiecie Frydek-Mistek, obchodzić będzie w przyszłym roku 50 rocznicę nadania praw miejskich. Liczy 44 tysiące mieszkańców (w tym 23 proc. Polaków) i znane jest przede wszystkim z wielkiej huty, której początki sięgają 1839 roku.

Do czasu zakończenia budowy Nowej Huty im. Klementa Gottwalda w Ostrawie trzyniecka huta była największym w Czechosłowacji tego typu zakładem — pod względem zdolności produkcyjnej (ponad 1,5 miliona ton surowców i stali rocznie), 40 proc. z 25-tysięcznej załogi stanowią Polacy (w tym dwóch wiceprezidentów). Trzyniecki kolos — podobnie jak wiele innych zakładów w okręgu północnomorawskim — od lat utrzymuje przyjacielskie kontakty z polskimi hutami na Śląsku.

Festiwal w Trzyczcu rozpoczął dwugodzinny pochód, w którym zaprezentowali się członkowie wszystkich kół Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego oraz działające w ich ramach zespoły chóralne, muzyczne, teatralne, kabaretowe, sportowe... Form uczestnictwa Polaków w życiu kulturalno-oświatowym jest zresztą bardzo wiele, a ich liczba waha się zależnie od wielkości koła (największe z nich liczy 1300, najmniejsze — 86 ludzi). Są tu różnego rodzaju kluby i koła zainteresowań, są zespoły kobiece i dzieci. Około 2 tys. śpiewaków i 50 zespołów wystąpiło we wspólnym programie, a kilka czołowych zespołów ludowych związku: „Górnik”, „Olza”, „Sibica” i „Gorol” miało osobne koncerty.

Dla tysięcy mieszkańców Trzyczca oraz innych miast i wsi festiwal — który przerodził się w wielki ludowy festyn (artystyczny i kulturalny) — stał się okazją nie tylko do zabawy i spotkań towarzyskich, lecz również — co podkreślano w oficjalnych wystąpieniach — do zainicjowania jedności szeregow Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Istnieje tutaj, posiadające duże tradycje, środowisko literackie. Pisarzem tym patronuje organizacyjnie PZKO, wydawniczo zaś przede wszystkim — ostrawski „Profil”, w którym od 1960 roku istnieje Edycja Polska.

„Profil” wydaje zarówno prze-

klady książek polskich autorów, zwłaszcza związanych z katowickim wydawnictwem „Śląsk”, jak i twórców zamieszkanych stale w CSRS, piszących po polsku. Wśród klasyków literatury tego regionu trzeba wymienić zmarłego w 1929 roku Jana Kubisza — autora poematu „Płyniesz Olzo” i „Pamiętnika starego nauczyciela”, a także m.in. poetów Józefa Krzywonia, Gustawa Sajdoka i Henryka Jasińca, prozaików Karola Piegzę, Adama Wawrosza, Józefa Ondrusza (znane zbiory bajek śląskich) oraz — nieżyjącego już także — Pawła Kubisza.

Ten ostatni — poeta, dramaturg, publicysta — był współzałożycielem i pierwszym redaktorem miesięcznika społeczno-kulturalnego „Zwrot”. To liczące już 30 lat pismo jest nie tylko organem związkowym prezentującym całokształt działalności PZKO, a w tym dorobek regionalnych twórców, ale — przede wszystkim — trybuną ideową społeczności polskiej na Zaolziu. Tu właśnie — na łamach miesięcznika — krystalizuje się świadomość polskiej inteligencji.

W artykule wstępnym w pierwszym numerze pisma Paweł Kubisz napisał m.in.: „Żyjemy w kulturze polskiej, współtworzymy kulturę polską. Ambicją „Zwrotu” powinno być, by miesięcznik stał się absolutnie niezbędnym ogniwem w polskim życiu kulturalnym na Śląsku Cieszyńskim”.

„Zwrot” nawiązuje do postępowych tradycji polskiej literatury i prasy w tym regionie, choćby dodatkami literackimi „Głosu Ludu” zatytułowanym „Szyndziol”. Dzisiaj trudno wyobrazić sobie bez niego życie Polonii.

Sojusznikami „Zwrotu” w walce o rzeczywisty zwrot w świadomości czytelników są nie tylko pisarze żyjący na lewym brzegu Olzy. Pismo utrzymuje stałe kontakty z polskimi i czeskosłowackimi środowiskami literackimi, naukowymi, dziennikarskimi, m.in. z Oddziałem Katowickim ZLP i filią Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Więzy te wykraczają zresztą poza Śląsk. Przeglądając ubiegłoroczne numery pisma natrafiam na przykład na „Łódzki ślad”: znany również czytelnikom „Odgłosów” reporter Marek Miller prezentuje tu łódzki przemysł w ciekawym tekście „Przełot nad gniazdem”. Przeszło 200 egzemplarzy „Zwrotu” (z ponad 4-tysięcznego nakładu) dociera do różnych miast Polski, wiele — do środowisk polonijnych w innych krajach, poza Czechosłowacją.

Ze „Zwrotem” ściśle współpracuje — istniejąca w PZKO od 30 lat — Sekcja Literacko-Artystyczna w której skupiają się pisarze, plastycy, filmowcy i fotograficy. Jest ona organizatorem konkursów, wystaw, imprez literackich. Dwa razy w roku — wiosną i jesienią — odbywają się seminaria literackie (ostatnie poświęcone związkowi literatury z ludowością na przykładzie prozy Tadeusza Nowaka). Mają też pisarze polscy na Śląsku Cieszyńskim swój festiwal — „Wiosnę poezji nad Olzą”.

Nie zawsze jednak propozycje twórcze członków sekcji wywoływały zrozumienie wśród tutejszych odbiorców. Mówi o tym Kazimierz Kaszper — przedstawiciel młodszego pokole-

nia pisarzy, od niedawna także redaktor naczelny „Zwrotu”. Z jego wypowiedzi wynika, że zarówno redakcja, jak i ZG PZKO, zamierzają więcej miejsca poświęcić propagowaniu ambitnych poszukiwań tutejszych twórców, mniej dotąd uznawanych form.

Tradycyjnie bowiem na szczycie polonijnej rzeczywistości kulturalnej znajdował się — angażujący najwięcej osób — ruch śpiewaczy. Ma on też swoje — godne uznania — wyniki. Polskie chóry ze Śląska Cieszyńskiego oceniane są za najwyższą spośród wszystkich zespołów tego typu w środowiskach polonijnych. Biorą z powodzeniem udział w Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie.

Na drugim miejscu stawia się w PZKO ruch teatralny, acz — zdaniem wielu, zwłaszcza młodych działaczy — należałoby mu dzisiaj przyznać pozycję nieco wyższą. Wskazuje na to tylko długość tradycji, równa śpiewaczej, ale i to że w wielu miejscowościach regionu własnie teatr zapoczątkował aktywność artystyczną Polaków. Teatr był zresztą o wiele bardziej ideonowy i skutecznie jednocił ludzi wokół ważnych spraw społecznych i narodowych.

Z tego amatorskiego ruchu teatralnego wyłoniły się dwie polskie zawodowe sceny. Przy Teatrze Cieszyńskim istnieje — od 1951 roku — Scena Polska. W jej repertuarze spotkać można zarówno inscenizacje polskiej klasyki, jak i sztuk współczesnych (ostatnio np. „Egzaminu” J.P. Gawlika). Niejedną też sztuką — za pośrednictwem Sceny Polskiej — weszła do repertuaru teatrów czeskosłowackich. Przykładem może być „Janosik” czyli Na szkle malowane” K. Gaertner i E. Brylla, grane z dużym powodzeniem w teatrach Pragi, Bratysławy i Brna.

Ponad 190 premier dla pól-

tora miliona widzów składa się na dorobek polskiej sceny w Cieszynie. W zeszłym roku zespół ten odbył swoją pierwszą — w jej dziejach — historyczną podróż do Warszawy. Był to efekt niedawno nawiązanej współpracy z Teatrem Popularnym w Warszawie (dawniej — Ziemi Mazowieckiej).

Scena polska część swego repertuaru adresuje także do młodzieży, a dzieci polonijne mają własny Teatr Lalek „Bajka” kierowany przez Bronisława Liberego.

Oba teatry mają już swoich następców. Pod patronatem Komisji Teatralnej i Żywego Słowa PZKO działa eksperymentujący Teatrzyk ZG. Kilkanaście zespołów spotyka się corocznie na Przeglądzie Małych Form Scenicznych „Melpomenki”.

Zdaniem redaktora naczelnego „Zwrotu”, młody ruch teatralny w środowisku polonijnym jest ewenementem, podejmuje bowiem problemy artystyczne teatru, wskazując, iż związkowe życie kulturalne nie musi stygnąć w dawno wypracowanych wzorach. Fenomen amatorskiego ruchu teatralnego — mówi K. Kaszper — tkwi w tym, że jego animatorzy chcą już nie tylko odtwarzać, wykonywać gotowe scenariusze, lecz pragną naprawdę tworzyć.

Dopatrzyć się w tym — twierdzi naczelny cieszyńskiego miesięcznika — korzystnych zmian w naszym środowisku, wzrostu samoświadomości. O ile dawniej była ona zdecydowanie prowincjonalna i regionalna, o tyle teraz wyraźnie konfrontuje się z szerszą świadomością społeczną i kulturalną.

Są to w dużym stopniu konsekwencje procesów integracyjnych w społeczeństwie czeskosłowackim. Do II wojny światowej głównym źródłem inspiracji była dla cieszyńskich twórców kultura ludowa. Ale

po II wojnie zachodzą w niej poważne przeobrażenia; traci ona z wolna swoją specyficzność, odrębność i wyjątkowość. Młoda generacja twórców polemizuje z próbami nawrotu do XIX-wiecznego regionalizmu i koncepcji samowystarczalności kulturowej regionu, z tendencjami do wyłącznego wiązania twórczości literackiej z osobliwościami, obyczajem i językiem Śląska; kultura ludowa nie jest — w ich mniemaniu — czymś przeciwnym do kultury narodowej.

Podobnych obserwacji i wniosków można spotkać więcej i to zarówno w rozmowach z młodszymi działaczami PZKO, jak i na łamach „Zwrotu”.

Ten ZWROT w myśleniu jest zasługą nowych roczników, które wkroczyły w ostatnich latach do polonijnego życia kulturalnego. Cechują je szersze horyzonty, większa łatwość bezpośrednich kontaktów ze źródłami kulturowym i etnicznym, otwartość na świat. Jeden z młodszych działaczy polonijnych, poeta i publicysta Tadeusz Wantuła tak charakteryzuje to „nowe”, które pojawia się wśród cieszyńskiej Polonii: „Wyzbyło się to pokolenie — pisze — balastu obciążenia regionalnych, obowiązku nie pojętego patriotyzmu, wreszcie resztek irracjonalnego kompleksu niższości wobec jednego i drugiego narodu. Odrzucenie politykierstwa na rzecz polityki jest najbardziej znaczącym rysem nowego. Nie czas teraz bawić się w pogolowskie dusze, w pielegnowanie wspomnień za każdą cenę.

Różnie generacja twórców i organizatorów — kończy T. Wantuła — których nadrzędnym celem nie jest ratowanie, lecz określanie, tworzenie. Więc nie „oryginalność” poprzez gwarę na przykład, lecz poprzez nasze widzenie świata...”

TOMASZ SOLDENHOFF



Ostrava — główny ośrodek przemysłowy największego w Czechosłowacji zagłębia węglowego

Po objęciu przez Jimmy'ego Cartera stanowiska prezydenta Stanów Zjednoczonych wzrosło zainteresowanie rolą odgrywaną przez żonę człowieka sprawującego najwyższy urząd w kraju. Poniżej podajemy fragmenty artykułów poświęconych Rosalynn Carter oraz żonie głównego rywala Cartera do prezydentury, Ronaldzie Reaganie, zamieszczone na łamach „Sunday Times” i „The Guardian”.

„To wspaniale posłedi Rosalynn chce być obecna na posiedzeniach dotyczących polityki, ale ja mam talenty i dziedziny, na których się znam, nie związane z udzielaniem rad mojemu mężowi na temat Afganistanu” — stwierdziła Joan Kennedy, podnosząc poziom kobiecych decyzji w prezydenckiej kampanii. To bojowe nastawienie nie uratuje Teda Kennedy'ego przed „złożeniem mu tyłka”, jak zapowiedział to niegdyś prezydent Carter, lecz ilustruje niezwykle rolę, jaką żony odgrywają lub zmuszone są odgrywać w amerykańskich kampaniach wyborczych.

Przed kilku tygodniami w podobnym duchu wypowiedziała się bardziej zdyscyplinowana Nancy Reagan. Powiedziała ona, przedstawicielce „Washington Post”, Sally Quinn: „Nie wydaje mi się, aby właściwe było krytykować, ale gdybym tam była, to nie uczestniczyłabym w posiedzeniach gabinetu... Może to być odpowiednie dla Cartera...”. Jeśli Joan i Nancy starają się po kobiecemu wypuszczać zatrute strzały, to starają

się także stawiać swych mężów na piedestale. Rosalynn Carter nie ma jednak oporów przed podkreśleniem swojego znaczenia. „Znalazłam się w oku historii. Mam wpływ i zdaje sobie z tego sprawę” — stwierdziła w niedawnym przemówieniu.

Carter, będący dość nieśmiałym człowiekiem, nie krapuje się przed przyznawaniem się do roli odgrywanej przez jego żonę. Określa on ją mianem „mojego przedłużenia” oraz „bardzo równego partnera”, co w domyśle oznacza, że jest ona najpotężniejszą nie pochodzącą z wyboru postacią w kraju. Nie odpowiada jej jednak określenie, że jest „przedłużeniem” swego męża. Mówi ona, że brzmiałoby to jak gdyby robiła tylko rzeczy, których on od niej chce. „Mam swoje własne sprawy” — stwierdza ona z naciskiem.

Nie ulega wątpliwości, że — jak mówi prezydent — jest ona „spokojną kobietą, która posiada wdzięk i pewność siebie oraz która jest bardzo twarda w nadzwyczajnych okolicznościach”. Nikt ze ścisłego kręgu funkcjonariuszy Białego Domu nie

wątpi, że jest ona jego najbardziej zaufanym i najważniejszym doradcą. Prezydent nie tylko bardzo ją szanuje, lecz także jest od niej bardzo zależny emocjonalnie. Będąc wychowywaną przez apodyktyczną matkę, która nie ukrywa swych zastrzeżeń wobec Rosalynn, jest obecnie ożeniony z silną żoną.

Jeden z bliskich przyjaciół stwierdza, że polityczne instynkty Rosa-

na politykę zagraniczną jest minimalny.

Wydaje się, że Nancy Reagan potrafi godzinami siedzieć całkowicie bez ruchu w układowej pozie z błyszczącymi oczami i uśmiechem na ustach, wsłuchując się w każde słowo swego męża bez względu na to, co mówi i bez względu na to, ile razy słyszała już to przedtem w ciągu ich 28-letniego małżeństwa. Czego chcą Reaganowie? Oto człowiek blisko 70-letni, będący już na emeryturze, bogaty, lubiany, otoczony przyjaciółmi i rodziną, wystawia swoją kandydaturę do jednego z najuczciwszych stanowisk w kraju. Jest to zajęcie, od którego postarali się ludzie znacznie młodszy i którzy pozostawili swe piętno fizyczne i psychiczne na ludziach o wiele silniejszych i bystrzejszych niż Ronald Reagan.

Po co on to robi? Dlaczego ona udziela mu zachęty? „Dlatego — mówi jeden z byłych bardzo bliskich współpracowników Reagana — że Nancy chce być królową. Nie należy jej nie doceniać. Ona wie czego chce. Wie do czego zmierza i Ronnie ma ją tam doprowadzić”.

Jako aktorka w latach przed swym małżeństwem, Nancy Reagan nigdy nie była uważana za osobę, która osiągnęła wielkie sukcesy. „Nancy Reagan chce być znana i sławna. On jej jest potrzebny, aby jej to zapewnić. Bardzo jej zależy na tym, aby został prezydentem” — mówi ktoś,

kto dokładnie ją obserwował.

W 1971 r. Nancy Davis Reagan udzieliła wywiadu uczelni Smith College, gdzie w 1943 r. ukończyła studia teatrolologiczne. W wywiadzie tym mówiła głównie o swych poglądach na rolę kobiety i rolę społeczeństwa. „Nigdy naprawdę — powiedziała — nie chciałam być kobietą robiącą karierę. Gdy po studiach zostałam aktorką, to stało się tak nie dlatego, że pragnęłam kariery, lecz jedynie dlatego, że nie znalazłam jeszcze człowieka, za którego chciałabym wyjść za mąż i nie mogłam po prostu nic robić”.

Pewien były członek personelu Reagana, który miał lepsze i gorsze okresy kontaktów z Nancy, mówi: „Często zastanawiałem się ile z tego jest prawdziwe. Czy jest to para aktorów, którzy zdecydowali się na granie roli i grają ją tak długo, że stała się ona rzeczywistością? U niej trudno jest powiedzieć, gdzie kończy się aktorstwo, a gdzie zaczyna się prawdziwe uczucie”.

Większość ludzi znających Reaganów jest zgodna, że rzeczywista siła Nancy i wpływ wywierany przez nią na męża wynikają z jej całkowitego oddania dla niego, wzajemnej bliskości oraz jej determinacji postawienia na swoim. Zdaniem osoby, która z nią współpracowała, „nie zna się ona za bardzo na polityce. Chce, aby on miał pozycję w władzy. Nie pasjonuje się ona polityką, lecz pasją jej jest centrum sceny”.

USA
PIERWSZA DAMA
I DAMY IN SPE

Paryski „L'Express” jeden z numerów majowych poświęcił Włochom; w tym znaczną część pisma zajęła publikacja pióra Rogera Xaviera Lanteri, poświęcona mafii. Artykuł ten przekazujemy z nieznacznymi skrótami.

Kiedy leje się krew, mafia przeżywa kryzys. Jest to powiedzonko sycylijskie. W ciągu 12 miesięcy 1979 roku tylko na ulicach Palermo padło 59 ofiar śmiertelnych, nie licząc tych, którzy „zniknęli” na zawsze, a których było co najmniej 16 i to jakich ofiar — bardzo znanych lub całkiem nie znanych: szef brygady lotnej, Boris Giuliano; sędzia Cesare Terranova, b. deputowany, b. filar komisji antymafijnej; Mario Francese, autor kroniki sądowej, dziennikarz najlepiej poinformowany o sprawach „szanownego towarzystwa”; Michele Reina, sekretarz prowincjonalnej partii rządzącej — demokracji chrześcijańskiej, a 6 stycznia 1980 roku premier regionu sycylijskiego, Piersanti Mattarella, syn dawnego ministra ochraniającego przez starą mafię. Pięciu „wybitnych nieboszczyków” — ponadto kilku karabinierów, ponadto 48 zbrodniczych aktów nie wciągniętych do rejestru karnego lub objętych amnestią w okresie przeszło 10 lat. Wszyscy padli, jak w teatrze, na ulicy, na oczach orzechodniów, zabici strzałem od przodu, tak jak zabija mafia, by ofiara wiedziała, skąd przychodzi śmierć.

„Bardziej niż potępić czy uniewinniać, pragnę zrozumieć” — mawiał Terranova na kilka tygodni przed zamordowaniem go. Zrozumiał i dlatego nie żyje. Nowa i stara mafia zabijają się nawzajem z powodu kontroli handlu popiołami. Po sycylijsku popioły nazywają się „cinniri”, a w żargonie członków mafii „cinniri” to narkotyki.

Na taśmie bagażowej lotniska w Palermo obracają się dwie walizki. Wszyscy podróżni odeszli, lecz walizki ciągle się kreca. Pracownicy lotniska, pełni podejrzeń, wzywają policję. Zjawia się Boris Giuliano, pierwszy główny na Sycylii. Otwiera je. Są wypłnione starannie ułożonymi banknotami — w sumie pół miliona dolarów. „Pieniądze za narkotyki” — mamrocze.

Mamy 19 czerwca 1979 roku. Tydzień wcześniej ten sam Giuliano polecił ująć policji amerykańskiej podróżnego przybywającego z Cinisi, miejscowości położonej o 2 km od lotniska w Palermo. W jego bagażach znaleziono 12 kg heroiny.

W 19 dni później, 8 lipca w portowym barze w Palermo pewien urwis znajduje pistolet pod krzesłem. Przypadek jest bogiem policjantów. Ludzie z brygady lotnej zaglądają do bistro. Dwaj młodzieńcy szukają czegoś pod stołami. W mieszkaniu jednego z nich Boris Giuliano odkrywa 4 kg 90-procentowej heroiny (wartość 20 mln franków) i ostatnie zdjęcie Leoluca Bagarelli, drugiego pistoletu Luciano Liggio, przywódcy nowej mafii. Boris Giuliano ma dowód, jakiego szukał: „szanownego towarzystwa” pojawili się w zamkniętym królestwie narkotyków, dziedzinie zarezerwowanej dotychczas dla patriarchów. W 13 dni później, 21 lipca Giuliano został zamordowany.

Mafia nie jest już zjawiskiem ograniczonym do 4 okręgów Sycylii — zachodniej, jest to organizacja międzynarodowa. Jednak, mimo wszystkich przemian, jest nadal przywiązana do swego źródła, do swych wsi i rodzin. Podstawową komórką jest zawsze „cosca” (dosłownie: „łódź karczocho”, ponieważ łódź ukladają się ściśle wokół serca — czyli szefa). Salvatore Greco, zwany Toto Inżynier, jest głównym importem narkotyków z Kanady (idealny punkt wyjściowy, by „nawodnić” Stany Zjednoczone). Jednak przede wszystkim jest on ostatnim z rodu Greco z wioski Ciaculli.

„Inżynier”, który 12 maja skończył 56 lat, jest doskonałym przykładem historii mafii: w jego rodzinie trudniło się od pokoleń pobieraniem opłat dzierżawnych. Kiedy zniesienie przywilejów feudalnych zostało rozszerzone na Sycylię (było to w 1812 roku) — szlachta miała w posiadaniu olbrzymie latyfundia, jednak bez prawa jurysdykcji. Ponieważ żyła w Palermo, swe dobra powierzała dzierżawcom za odpowiednią opłatą. Ponieważ ci dzierżawcy mieli obowiązek wyciskania potu z wiesniaków, ściągania z nich podatków i innych obowiązków, działali szczerząc gwałt i strach. W ten sposób narodziła się mafia.

Greco byli poborcami opłat dzierżawnych, które przekazywali rodzinie książąt Tagliavia. W 1939 roku żyło trzech Greco — dwóch braci i ich kuzyn — którzy panowali nad sadami regionu Ciaculli, na wschód od Palermo. Z jednej strony — morze, z drugiej — ponure góry sycylijskie schodzące do morza.

Było to panowanie spokojne, aż do wieczora świątecznego w wiosce, gdzie o zwykłe miejsce siedzące dzieci zabijają się nożem lub pistoletem. Zaczyna się wendeta sycylijska (faida). Przez 17 lat odbywa się masakra rodzinna. Najemni mordercy uczestniczą w niej w równej mierze jak osoby spokrewnione, nawet kobiety. W porównaniu ze sprawą Greco „Romeo i Julia” to operetka. Kiedy pozostaje już tylko trzech Greco, „Piddu” — porucznik — zmusza do pokoju i przekazuje władzę dwóm swym bratanikom: Toto Inżynierowi i Toto Grubasowi. Inni, którzy przeżyli, zostają chirurgami w Palermo, bądź właścicielami ziemskimi. Stary „Piddu” Greco puszy się w samobójstwach kasy oszczędnościowej, której jest administratorem (jako wybrany klient). Zasiada również w „Banku Sycylijskim”. Toto Inżynier angażuje się w handel nieruchomościami i narkotykami. Masakra będzie trwać pora rodziną.

Kto nie widział stołty sycylijskiej między 1950 rokiem, a dniem dzisiejszym, jest zdumiony. Było to prowincjonalne miasto z wielkimi, spokojnymi pałacami, z centrum charakterystycznym dla śródziemnomorskiego portu. Pokonawszy domy z tarasami widziało się falujące gaje pomarańczowe. Władze miejskie pewnego

„Kiedy Toto Inżynier lub jego kuzyn — przewidywali — zobaczy pierwszą bombę, będzie ją chciał rozbroić. Tymczasem wybuchnie druga i wszyscy zginają za jednym zamachem.”

Niestety! W powietrze wyleciało siedmiu karabinierów i saperów (w tym jeden porucznik). Dzisiejsza hekatomba wiąże się z tym dawnym incydentem z 1963 roku. Poruszenie było wówczas tak wielkie, że demokracja chrześcijańska nie mogła się przeciwstawić (jak to czyniła od 15 lat) stworzeniu komisji antymafijnej. Skutki tego są następujące: 117 członków mafii zatrzymanych i postawionych przed sądem.

Piękny proces w Catanzaro w Kalabrii. Ale z łomą uniewinnieniami! Nie szkodzi. Ci, którzy uniknęli wyroku, otrzymali polecenie osiedlenia się na wyspach lub na północy Włoch. Kiedy ci „szanowni ludzie” mogli w końcu powrócić do Palermo na początku lat 70, miejsca zostały zajęte przez nową mafię. Była to pierwsza wojna dwóch mafii. Na 17 zatrzymanych, 78, którzy zostali uniewinnieni przez sędziów, zostali zastrzeleni przez nowo przybyłych o odwrętej twarzy. Najbardziej krwawym przywódcą tej nowej fali — w hi-

Muszą się o tym dowiedzieć starzy. Zabiera się za tych, których w Palermo nazywano z szacunkiem „Nietykalnymi”.

Najpierw Don Giuseppe Caruso. Ten patriarcha miał pomysł wysłania heroiny, ukrytej w blokach marmurowych. Liggio uprowadza jego syna. Stary płaci bez wahania 1.750 tys. franków, likwiduje swe przedsiębiorstwo i wyjeżdża na północ.

Następnie Don Ciccio Vasalo, dawny woźnica, który porzucił muły dla handlu nieruchomościami w okresie boomu. Przyjaciel członków mafii spośród demokracji chrześcijańskiej nie obawia się niczego. Liggio uprowadza jego syna i inkasuje 2,5 mln franków. Przyjaciele reagują — są cztery trupy.

Kolej na Luciano Cassinę, właściciela przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Cassina nie rozumie. Nie płaci. Trwa to 6 miesięcy. W końcu wyklada 7,5 mln franków.

Powodzenie prowadzi go do szaleństwa: Liggio uprowadza „włókna” Sycylii. Od czasu Aragonów synonimem potęgi jest tu w wyobrażeniach ludowych nie król, lecz wice-

Następnie telefonuje do ojca Costa: „Proszę zgłosić się po polecenie do Palermo!” Duchowny udaje się na Sycylię i nawiązuje kontakt z przełożonym jezuitów, który kieruje go do ojca Giovannino Aiello.

„Zajmowałem się już uprowadzeniami — wyznaje jezuita palermitański — zwłaszcza uprowadzeniem Cassiny. Trzeba nawiązać kontakt z ojcem Agostino Coppola.”

Mediolański sędzia śledczy dotrże do tego łańcucha i znajdzie u ojca Coppola 33 banknoty po 100 tys. lirów pochodzące z poprzednich okupów. Ten ksiądz pobierał swa dziesięć. Miał się w kogo wdać; jest bratankiem Franka Coppola.

Tymczasem sędzia śledczy i karabinierzy, dzięki podstus howi telegraficznemu, zdolali „wyskoczyć” Liggio. Zatrzymują go w 1974 roku w Mediolanie. Jednak „szlachetny człowiek” nadal panuje z więzienia.

Na całym świecie są wesole wiadomości, lecz palermitańskie — Ucciarone — jest wyjątkowe. Można było powiedzieć, że było stolicą mafii. W tej fortecy, której mury wznoszą się między miastem a portem, praw nie dyktują strażnicy i dyrektor, lecz przywódcy mafijni.

800 więźniów pewnego południa odmawia zjedzenia posiłku, jaki im podano. Wyrzucają jedzenie przez okienko w drzwiach i robią straszliwy hałas. Dyrektor idzie do Masino Buscetta, jednego z „lirów handlu narkotykami. Ten z miejsca wydaje 800 więźniom polecenie zebrania wyzuczonego posiłku i zjedzenia go do ostatniego kęsa. Polecenie wykonane. Wszyscy są skwapliwie posłuszni.

Buscetta gardzi więźniem, który przywódcą mafijny każe sobie dostarczać posiłki z restauracji miejskich. Oczywiście „szanowny człowiek”, który szanuje się, nie śpi w celi. Ma prawo do sal cherych, a nawet lepiej, do osobnego pokoju. Tak właśnie sypia ojciec Coppola, który musi leczyć swe oskrzela. Nic brak mu niczego, co zawadza wygodę — ani lodówki, ani telewizora.

Gdy Liggio został „uwięziony”, zażądał, aby zwracano się do niego w trzeciej osobie. On natomiast „kłał wszystkich. Było to poczesne widowisko, gdy dyrektor mówił „pan” do bandyty, który rzucił mu „niezłotowane”. Czynnac tak Liggio postępował jedynie według starej zasady. Pewien Sycylijszyk, więziony w Ucciarone w latach 50, opowiadał mi, że historyczni mafiosi, jak Nicoletti, wymagali zwracania się do nich przez pan, podczas gdy sami „kłał wszystkich. Człowiek ten był jeszcze o wyrafinowanych posiłkach, jakie widywał w więzieniu.

Na dziedzińcu żółtodzioby musza okazywać swój respekt. Całują dłoń szefa. Najbardziej dumującym obyczajem Ucciarone jest jednak „kolokwium specjalne”. Raz na tydzień każdy więzień, który wyrzucił sobie nazwisko, ma prawo przyjmować w cztery oczy kobietę. Spotkanie trwa godzinę i żaden strażnik nie sprawdza, co oni robią.

Czy trzeba mówić, że nikt nie jest rewidowany? Ze niektórzy więźniowie mają noże? Ze można telefonować za granicę? (Istnieje urządzenie podsłuchowe, lecz nikt go nie używa). Kiedy ostatniego lata został pobity w mieście jeden ze strażników więziennych, kilku jego kolegów postanowiło ujawnić dziwne obyczaje panujące w więzieniu. Jak to zrobić? O każdej skardze natychmiast doniesiono by mafii. Zdecydowali się na list anonimowy do zastępcy prokuratora. Wśród nich, co jest pewne, znajdował się zastępca szefa strażników, Calogero Di Bona. 28 sierpnia zniknął i nikt go więcej nie widział.

„Biała lupara” mówią palermitańscy. „Lupara” to strzelba do polowania na wilki z odpaloną lufą, którą posługiwali się niegdyś mafiosi, strzelając z bliska. „Biała lupara” to zniknięcie bez wieści, nawet bez uprowadzenia, bez zwłok. Już dawno mafia odkryła, że najlepszym sposobem ukrycia ciała jest umieszczenie go na cmentarzu.

Liggio nie jest już w Ucciarone. Ze względu na bezpieczeństwo został wysłany na północ i umieszczony w specjalnym więzieniu generała Dalla Chiesa, przywódcy oddziałów do walki z Czerwonymi Brygadami. Jednak to właśnie grupa Liggio prowadzi w tych tygodniach akcje w Palermo.

Liggio ze swego więzienia jest nadal niekwestionowanym szefem i ma swych adiutantów wszędzie. Wiedomo, że chciał zabić Terranovę. Kiedy został przewieziony na proces do Palermo, zamierzał uciec, by zabić sędziego. Tym, kto mówił do karabinierom, nie jest bynajmniej jakiś żartowniś. To Giuseppe Di Cristina, jeden z kacyzków starej mafii, szef cosca z Rieti koło Agrigento. Spadkobierca tradycyjnej rodziny mafii rolniczej, uprzywilejowany handlarz narkotykami, nienawidzi on Liggio, jego ludzi i ich „złotych metod” — „prawdziwe bydlę ludzkie” — powtarza.

KRYZYS MAFII



pięknego dnia ogłosili sady strefa przeznaczoną do urbanizacji. W jednej minucie kilka hektarów osiągało wartość 2 mld franków. Wszyscy szefowie z Greco na czele chcą skorzystać z tej kopalni złota, która właśnie się otwiera. Każdy drobny właściciel odwiedzany jest przez dwóch sympatycznych chłopów. „Potrzebna nam wasza ziemia, gdzie rośnie gaj cytrynowy. Zapłacimy dobrze”.

Zaproponowana cena jest nędzna, jak jednak odmówić, jeśli chce się ocalić głowę?

Dzisiaj Palermo jest m. astem apoplektycznym: 800 tys. ludzi gnieździ się na przestrzeni zapewniającej wygodę 300 tysiącom. Nikt nie odważył się stawić czoła kuzynom Greco, z wyjątkiem braci La Barbera, drobnych handlarzy drewnem i węglem, którzy, kładąc trupem 12 ludzi, przejęli kontrolę nad centrum Palermo. Zostali przyjaźni „chrześcijańskich demokratów z władz miejskich i sojusznikami Lucky Luciano, bandyty sycylijsko-amerykańskiego, który osiadł w Neapolu (zmarł w 1962 roku).

Greco i Barbera nie czekali na boom budowlany, postanowili wcześniej wejść w spółkę. Już przy pierwszej sprawie Barbera przedziwili, że zostali okradzeni przez jednego z ludzi Greco. „Trybunał cieni” (mafijny) zebrał się i orzekł uniewinnienie tego człowieka. Wbrew wszelkim zasadom, Barbera nie akceptuje werdyktu. Jego najemnicy atakują ludzi Greco. Cóż za zuchwałość! Salvatore La Barbera w nicości. Angelo La Barbera, dobry mówca, dostaje sześć kul w pierś w Mediolanie. W samochodzie umieszczają dwie bomby: jedną widoczną i nieszkodliwą, drugą — dużej mocy. Auto postawiają przed willą braci Greco w Ciaculli.

storii mafii nazywa się ją czwartą — jest Luciano Liggio, zwany Liggio. Dziś jest on w więzieniu ale to właśnie jego ludzie, na jego polecenie zabili w 1979 roku większość z 59 śmiertelnych ofiar w Palermo.

Liggio i jego „cosca” pochodzą z Corleone. Urodził się przed 55 laty, 6 stycznia, w tej fortecy górskiej w sercu kraju mafijnego. Oto mały trójkąt: Trapani — Agrigento — Palermo. Przy włoskim bucie jest to jedynie wielki palec u nogi, lecz tych kilka zagubionych wiosek dało życie instytucji najbardziej niebezpiecznej na świecie. Mafia jest tylko tutaj. Nie ma mafii kalabryjskiej ani mafii neapolitańskiej. Kalabria ma swą „ndranghettę”, a Neapol swą „camorę”.

Tu, w Corleone, się pracuje. Wszystkie płaskowyzę dorobiła się uprawiane aż po szczyt Pasterze strzeżone stad krów i kóz. W wieku lat 19 Liggio był już tutaj poborcą opłat dzierżawnych, a zatem członkiem mafii.

Kradzież snopów zboża. Strażnik polny chwytą Liggio na gorącym uczynku, zatrzymuje go. Liggio wychodzi z więzienia. Strażnik polny zostaje zamordowany Liggio — zatrzymany i oskarżony. 50 razy Liggio kradnie i zabija. 50 razy jest aresztowany, 50 razy jest uniewinniany z powodu braku dowodów. Dochodzi nawet do tego, że zabija szefa mafii, przywódcę „cosca”, lecz szefa „Consorteria” (szczęśliwie wyżej), osobistość z DCH.

Kiedy wszyscy „szanowni ludzie” ze starej mafii zostają aresztowani, Liggio jest już w więzieniu gdzie wysłał go sędzia Terranova, zamordowany 24 września, lecz lekarz kieruje go do kliniki, a on ucieka. Od tej chwili Palermo należy do niego.

król. A kimże jest ten najwyższy władca. To Corleo, poborca podatkowy.

Choć mogłoby się to wydawać cudzoziemcowi nieprawdopodobne, Włochy są jeszcze krajem dzierżawy podatkowej. Podatki nie są pobierane bezpośrednio przez państwo, lecz przez osoby prywatne, które pobierają ponadto prowizję. Corleo, poborca podatków z całej Sycylii zachodniej, przekazał swą funkcję zięciowi, straszemu Nino Salvo. Liggio porwa starca i domaga się 100 mln franków (rekord światowy). Salvo nie jest sentymentalny. „Pokażcie mi najpierw starego” — mówi.

Nikt nigdy nie zobaczy „starego”, a ponieważ Salvo ma przyjaciół na ulicach Palermo padnie 19 śmiertelnych ofiar.

Tego było za wiele. Don Tano Badalamenti, sędzia pokoju starej mafii, zwoluje cały areopag „szlachetnych ludzi” u siebie w Cinisi, niedaleko lotniska w Palermo. Są tu wszyscy przywódcy mafijni, nawet Frank Coppola, zwany Trzy Palce, jeden z historycznych szefów Cosa Nostra w Stanach Zjednoczonych. Don Tano Badalamenti, sprytny handlarz narkotykami, zbadał wszystkie ogniska, ogłasza ostatecznie swój werdykt: „zakaz dokonywania na Sycylii uprowadzeń dla okupu. Róbcie to na północy!”

Liggio wyraża zgodę. Od 1970 roku ma mieszkanie w Mediolanie. Udaje mu się kilka uprowadzeń wysokiej klasy. Tym razem zuje się zapach sutanny. Aby zainkasować okupy, wymyślił łańcuch pośredników spośród jezuitów.

„Zwróćcie się do ojca Costa w Turynie” — mówi do rodziny Rossi Di Montelera, król wermutu, którego właśnie uprowadził.

Powieści Włodzimierza Sokorskiego nie są mi obojętne. Jedne mnie drażnią, inne nudzą — zawsze jednak po nie sięgam. Sokorski dokonuje bowiem w swoim piśmiarstwie ciekawych zabiegów. Mianowicie niektóre postacie, które w publikowanych memuarach rozsyfrowuje — w powieściach opisuje w taki sposób, że przy odrobinie dobrej woli, można się domyślić, kto był pierwotnym literackim postaci. Stanowi to dodatkowy walor literacko-towarzystwa powieści Sokorskiego.

Osobiście jednak najwyższą cenę nurt literatury faktury w piśmiarstwie Sokorskiego. Jego „Notatki” były dla mnie — a są, że nie tylko dla mnie — prawdziwą rewelacją. Choć czytałem sporo o międzywojennym, o niektórych sprawach dowiedziałem się po raz pierwszy. O innych sprawach wiedziałem wcześniej, ale po raz pierwszy o nich przeczytałem...

„Polacy pod Lenino” — książka wydana dziewięć lat temu — do dziś pozostała dla mnie najbardziej intrygującą publikacją na ten temat. „Polityka i kultura” sprzed czterech lat pozostała dokumentem, aktualnym do dziś i wiele osób powinno ją sobie

czytać do poduszki.

Nie pamiętam już w której książce napisał Sokorski to zdanie: „Idee realizują ludzie — a ludzie tworzą sytuację”. Jakże często przychodzi mi powtarzać sobie to zdanie; w dziesiątkach okoliczności jest ono bezbłędnie aktualne. Zwłaszcza, gdy sytuacja działa na szkodę idei.

Ostatnio Włodzimierz Sokorski wydał kolejny tom swojej publicystyki zatytułowany „Czas, który nie mija”. Otóż w

— właśnie tak, wczynać, a nie tylko przeczytać.

Nie upierałbym się przy twierdzeniu, że powieści Sokorskiego są najlepszą lekcją współczesnej literatury. Natomiast znakomitą, szczerą i poruszającą lekcją polityki są jego wspomnienia, szkice i felietony.

„Bez znajomości literatury i wrażliwości na sztukę nie można być pełnowartościowym człowiekiem, a również pełnowartościowym politykiem” —

LEKCJA POLITYKI

tym czasie, który nie mija notuje autor syntezę polityki kulturalnej od 1944 roku po koniec lat siedemdziesiątych. Zgodnie z historyczną periodyzacją — a co ważniejsze, zgodnie z rzeczywistością — dzieł Sokorski owa politykę kulturalną na pięć etapów. A więc pięciolecie 1944—1949, czyli do Zjazdu Szczecińskiego ZLP, dalej pięciolecie do 1954 roku i tak dalej...

Ta synteza naprawdę warta jest, aby się w nią wczynać

pisze Sokorski. Pomyśli ktoś — banal. Może, ale jakże mądry banal.

Pisze dalej Sokorski: „Bez znajomości związków przyczynowych zarówno między zjawiskami ekonomicznymi, społecznymi, jak i psychologicznymi, człowiek nie może kierować polityką, propagandą, ludźmi, moralnością, kształtować nowoczesnych stosunków między ludzkich”. (...) Należy dyskutować, uprawiać dialog, natomiast nie należy przemleć.

Nie tylko nieobecni nie mają racji, nie mają racji również sprawy przemleć, mimo że doskonale zdaje sobie sprawę, że o pewnych zagadnieniach nie jest łatwo mówić, a czasem nawet nie powinno się mówić.

W tym ostatnim zdaniu tkwi pewna niekonsekwencja, ale i ona przecież jest świadectwem szczerze, nieco rozdartej (jak współczesność), dyskursywnej postawy tego światłego komunisty.

„Pisarstwo Włodzimierza Sokorskiego jest, w poważnej części, lekcją polityki. A także lekcją rozumienia życia i jego zjawisk. Sokorski, po latach działania jako polityk, wyznaje, że uprawianie literatury „ułatwia zrozumienie pewnych zjawisk, niesłychanie istotnych dla pojedynczego człowieka, lecz omijanych przy globalnym spojrzeniu polityka”.

Politykę i kulturę, politykę i literaturę łączy nierozdzielny związek. Działło się tak zawsze — od Rzymu, Grecji i Egiptu — od czasów cesarzów, faraonów i konsulów... Każda lekcja polityki powinna się zaczynać od przypomnienia tego oczywistego faktu.

WIDOK

Przed Olimpiadą nie się nie dzieje. Sprawdziany już zakończono. Opublikowano listę naszej ekipy olimpijskiej, czym zakończono zostały spekulacje. Za kilkanaście dni zaplonie znicz na moskiewskim stadionie. Od dnia ukazania się tego felietonu — za 9 dni. Wszyscy czekają na te emocje. A na stadionach spokój.

Na stadionach może i tak, ale przedolimpijskie dyskusje toczą się nadal. Nie tylko zresztą przedolimpijskie. Po sportowych piśmiach ciągle jeszcze echem odbija się pogłoska o przejściu Zbigniewa Bońka do turyńskiego „Juventus”. Zaprzeczają prezys RTS Widzowa — L. Sobolewski, zaprzeczają sam Z. Boniek, ale pogłoska uparcie nadal krąży. Podsyca ją niczym nie wytłumaczony fakt absencji Zbigniewa Bońka w grupie piłkarzy wojazujących po świecie.

Toczą się też dyskusje o sprawach olimpijskich. Józef Lipiec w krakowskim „Temple” z 3 lipca br. podjął rozważania na temat sprawiedliwości na olimpiadach. Powodem do tych rozważań stał się urodzaj utalentowanych pań w biegu przez płotki na dystansie stu metrów. Zdaniem J. Lipca ustanowienie limitu trzech reprezentantów w danej dyscyplinie lekkiej atletyki jest preferencją interesów państwa i dzieje się to z krzywdą dla jednostki.

Oto przykład. Do Moskwy jak wiadomo pojadą: Grażyna Rabsztyń, Lucyna Langer, Zofia Bielczyk. A powinny jeszcze pojechać: Danuta Perkowa i Elżbieta Rabsztyń. Nie są wiele gorsze i mają również szanse na medale. Ale nie pojadą, bo limit, bo przepisy i tak dalej. I dzieje się to z krzywdą dla nich, jest niesprawiedliwe, powoduje, że jednak nie wszyscy najlepsi będą rywalizowali ze sobą. Tak to argumentuje J. Lipiec.

PRZED OLIMPIADĄ

Jest w tym dużo racji. W różnych krajach, w różnych dziedzinach sportu, w reprezentacjach nie zmieszczą się wszyscy najlepsi. Trenerzy muszą dokonać wyboru. Kogoś zawsze skrzywdzą, a i w swoich ocenach mogą też się pomylić. Oto na przykład Ala Ciskowska z MLKS Mazowsze Teresin, mimo że wygrała już kilkakrotnie i na ostatnim sprawdzianie była o 12 punktów lepsza od wicemistrzyni świata z Canberra, Jadwigi Wilejto, też nie pojedzie do Moskwy. Jest rezerwową. Pojedzie, jeśli któraś z reprezentantek zachoruje. Jeśli będą zdrowe, to nie pojedzie, choć wicemistrzyni świata, Jadwiga Wilejto jest chwiliowo bez formy. Czy to jest sprawiedliwe? W moim przekonaniu nie, ale widać działacze PZ Łucznictwo woleli zautać doświadczeniu niż talentowi. Swoje racje mieli, choć trudno się z nimi zgodzić i niewątpliwie Ali Ciskowskiej stała się krzywdą.

Gdyby przepisy pozwalały — powie na to Józef Lipiec — to pojechałaby do Moskwy również Ala Ciskowska i mogłaby na łucznictwie torze olimpijskim zmierzyć się z rywalką. Uważa on bowiem, że do przepisów powinna być wniesiona poprawka, zezwalająca, aby poza reprezentacją państwową w rozgrywkach mogli brać też udział ci, „którzy swoimi wynikami, potwierdzonymi przez międzynarodową komisję, mieszczą się w 20 najlepszych w świecie”. Nie zwiększyłoby to zdaniem J. Lipca liczbę startujących, bowiem „kraje spekulujące na nieobecności wielu wybitnych zawodników, realnie oceniłyby szanse swoich reprezentantów”.

Pięknie to, ale również niesprawiedliwe. J. Lipiec bronią jednostki o czymś bowiem zapomnieli. Zapomnieli o idei olimpijskiej. Baron Pierre de Coubertin wygłosił w lipcu 1908 roku w Londynie słowa, które określały ideę olimpijską: „W życiu ważny jest nie triumf, lecz walka; istotną rzeczą jest nie zwyciężać, lecz umieć toczyć rywalizację”. Nie wszyscy dziś mają jeszcze takie kłopoty, jak nasz zwycięzca lekkiej atletyki, a wszyscy chcieliby w olimpiadach uczestniczyć. I mają do tego prawo. Tylko, że pojemność stadionów, czas trwania olimpiady, są czynnikami ograniczającymi. Stąd konieczność wyboru najlepszych w danym kraju.

Ala jeszcze o czymś zapomnieli Józef Lipiec. Zapomnieli o... przeszłości. Był kiedyś taki czas, że chcielibyśmy po prostu być obecni na olimpiadzie. Zaraz po wojnie też chcielibyśmy tylko być, nie liczyliśmy na żadne sukcesy, bo sport nasz dopiero odradzał się. Dziś już martwimy się tym, że nie wszyscy nasi najlepsi mogą pojechać do Moskwy. A wystarczy spojrzeć na szybko zmieniającą się mapę świata. Ile młodych państw dziś chce też tylko być na olimpiadzie, zmanifestować swoje istnienie, pokazać się światu. Czyż wolno im odbierać takie prawo? Za kilkanaście lat, jak wszystko dobrze pójdzie, może ich sportowcy będą martwili się o to, że nie wszyscy mogą wziąć udział w olimpiadzie. Czyż można już dziś odebrać im taką szansę? A gdyby nam ją odebrano w 1948 roku?

Zmartwienia Józefa Lipca są mimo wszystko pocieszające. Coś się w naszym sportowym życiu zmienia. Oby tak i w innych dyscyplinach trenerzy i działacze martwili się nadmiarem zawodników wysokiej klasy.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Być dziś magistrem to żaden zaszczyt. Każdy w zasadzie może być magistrem, jeśli tylko zechce. Trzeba się trochę potrudzić, na studia wyższe się dostać. Właśnie trwają egzaminy. Starających jest więcej niż miejsc, ale są też kierunki deficytowe, tylko że tam trzeba mieć określone zdolności i z tym bywa kłopot. Mimo wszystko magistrem zostać nie jest trudno. Studować przecież można pracując. I dlatego dziś nie jest w cenie tytuł magisterski i mało kto go używa, chyba że jest magistrem inżynierem, bo to już coś innego niż zwykły inżynier. Dziś w cenie jest tytuł doktorski.

Lubimy się na ogół prześmiewać z tematów prac doktorskich, a to dlatego, że je się ogłasza, że obrona jest publiczną i opinia publiczna może, nie uczestnicząc nawet w obronie pracy doktorskiej, dowiedzieć się, jaki temat będzie bronił. Broniono już różne prace i o grze w pałanta też. W takim przypadku sprawa jest prosta i wiadomo z czego się ludzie śmieją. Język i zakres tematów prac doktorskich staje się jednak coraz bardziej zawiły i tajemniczy i nie wiadomo już, czy jest to temat do śmiechu, czy nie. Na przykład doktorant Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego mgr Alicja Sterny-Karwat broniła pracy pt. „Kategoryjne własności wypukłych procesów wielościenne”. Dla laika jest to temat makabra. Zupelnie nie wiadomo o co chodzi. Specjalista zapewne wie, jaki jest zasięg i ważność takiego tematu.

Najwyższej w cenie jest jednak tytuł docenta. Ale przedtem trzeba zostać doktorem. Doktor to ktoś o wyższym stopniu wtajemniczenia. Magister — to po prostu absolwent wyższej uczelni. Doktor — to ktoś, kto więcej czasu poświęcił na zgłębianie nauki, ma większy zasób wiedzy, jego opinie muszą już budzić zaufanie. Magister mógł się przez studia jakoś prześlizgnąć, doktor musiał wiele godzin

poświęcić na poznawanie wiedzy. I to już gwarantuje jego wysokie kompetencje.

Ala oto inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli dowiedzieli czegoś wręcz przeciwnego. Skontrolowano 498 przewodów doktorskich przeprowadzonych w 36 placówkach naukowych i stwierdzono, że w 40 przypadkach stopnie naukowe nadano bez należytego uzasadnienia. Okazuje się więc, że i doktorom można zostać przypadkowo.

SZANUJMY DOKTORÓW

W społecznej świadomości doktor kojarzy się z leczeniem. Dziś już wiadomo, że nie każdy doktor musi być lekarzem, ale ten tytuł naukowy budzi nie tylko zaufanie, budzi również nadzieję, że ktoś, kto podejmuje się trudów zdobycia doktoratu musi mieć coś do powiedzenia w nauce. Ludzie czytają więc w gazetce nie tylko o tym, kto staje do obrony doktoratu, ale też i na jaki temat ten ktoś ten doktorat robi. Jest w tym jakby pytanie: co my będziemy z tego mieli? I kiedy dowiadujemy się, że mgr Halina Sieskiewicz z UW broni pracy doktorskiej o „Skutkach prawnych porzucenia pracy”, to człowiek cieszy się, bo taka praca ma bezpośredni związek z życiem. Może przysłać się ludziom zajmującym się polityką kadrową.

Ala też bywa tak, że po zapoznaniu się z tematem pracy doktorskiej człowieka trafia ślag, bo oto wrócił właśnie z administracji, gdzie interweniował, bo woda ciekła z ciepłego kranu nie jest ciepła, a w administracji powiedzieli, że nie mogą sobie z tym poradzić sami i będą „musieli prosić o pomoc specjalistów z Zakładu Sieci Ciepłej, a tu w kupionej w kiosku gazecie człowiek czyta, że inż. Krzysztof Kasperkiewicz z Politechniki Warszawskiej doktoryzuje się na temat „Analizy właściwości regulacyjnych wymiennikowego węża centralnego ogrzewania”.

Człowiek nie musi mieć racji. Być może praca mgr inż. Zenona Kalnego z Instytutu Fizyki PAN na temat: „Opracowania metody wyznaczania lokalnej porównalności w aparatach z wypełnieniem ziarnistym” ma kolosalne, żeby nie powiedzieć fundamentalne znaczenie dla rozwoju nauki, a tylko nam laikom może wydawać się pracą marginesową. Człowiek być może nie musi mieć racji i dlatego, że oczekuje od nauki zbyt wiele, a z doktoratem wiąże zbyt wiele naukowej możliwości. Wszakże i inspektorzy NIK są podobnego zdania. Tymczasem w kręgach związanych z nauką mówi się, że tematy prac doktorskich są oderwane od życia, a poziom tych prac niezbyt wysoki.

W wyniku analizy NIK minister Janusz Górski polecił zlikwidować około 30 studiów doktorskich dla pracujących, uznając, że nie spełniają pokładanych w nich nadziei. Polecił także sporządzić plan zatrudnienia ludzi z tytułem doktora do roku 1985, który to plan ma być podstawą dla kształcenia doktorów. Pracując się też nad ekspertyzą systemu kształcenia doktorów. Może więc być coraz trudniej ze zdobyciem tak upragnionego przez wielu tytułu.

MARCIN RODAK

1/3
mini
magazynek

Z TELEWIZJI

MOŻNA WYBIERAĆ

Telewizja poinformowała nas niedawno, że w każdą sobotę (a praktyka pokazała już, że i w niedziele 23. 06. 1980 r.) po dziesięciu telewizyjnym zasadniczo pozycje nadaje się jednocześnie w obu programach. Czyni się tak po to, aby posiadacze I telewizora z dwoma programami nie sprzecznali się gdyż mał chce oglądać na przykład film w I programie, a żona koncert w II. Też każdy będzie mógł sobie wybrać, czy „Pogoda dla botaników” będzie oglądał w I czy w II programie.

Fakt ten usławił nam korzyści płynące z tego, że nie mamy jeszcze trzeciego programu.

Rój
Zabawna przygoda zdarzyła się solście Teatru Wielkiego w Warszawie — Jerzemu Ostajukowi. Wychodząc z prób, stwierdził on nagle, że w tekście „Wokół węgla” zaginęły słowa „szczyt”. Wzwał na pomoc warszawskiego pisarza, Władysława Grabowskiego, ale i temu nie udało się wyprowadzić roju z samochodu. Użyto wreszcie... elektroluksu i rój wraz z matką przeniesiono do ula, którego właścicielem jest teraz Jerzy Ostajuk.

Przygoda okazała się w rezultacie i pożyteczna i zabawna, ale strachu też było sporo. Na szczęście był to rój łagodny. W samochodzie J. Ostajuka jeszcze teraz pojawiają się pszczoły, ale są już zycielnie nastawione do właściciela.

SZ.P.ERACZ

Udawali Greków

Z „Głosu Robotniczego” dowiadujemy się o Belogrodzku, niewielkiej miejscowości butarskiej. „W pobliżu znajdują się również ruiny twierdzy rzymskiej zbudowanej przez Turków”.

„Którzy, budując ją, zapewne udawali Greków?”

Tkanie dzianin

Tamże informacja o tym, że łódzka „Vera” rozpoczęła produkcję dzianin welurowych z reprodukcjami obrazów znanych malarzy. Te tkaniny dzianinowe mają średnie wymiary 100 x 120 cm i mogą się stać piękna ozdobą naszych mieszkań.

Dotychczas tkano je tkaniny, a dzianiny — działo się. Chodzi więc zapewne również o przewrót technologiczny?

Problem pustych butelek nadal pozostaje nie rozwiązany. Handel jest niby obowiązany odbierać puste butelki, ale wiele sklepów bierze je jedynie pod warunkiem, że klient wymieni pustą butelkę na pełną. W Warszawie, gdzie, jak o tym poinformowała przedstawicielka stołecznego

NIEMOCHANE BUTELKI

handlu, każdy sklep ma nakazane, aby odbierać wszelkie butelki, a nie tylko te, które sprzedał pełne — nadal prob-

lem jest nie rozwiązany, nadal sklepy nie biorą butelek. Niby taka głupia butelka, a ile już lat nie potrafimy sobie z nią poradzić. Nie pomagają nakazy, zakazy, zarządzenia. A może niewłaściwie się do tego zabieramy? Może sprawę trzeba opić?

K. L. Ient

Kto wiedział lepiej

W poprzednim tygodniu obiecaliśmy, że podamy rezultaty naszego skromnego konkursu: „KTO WIE LEPIEJ?”. Rzec dotyczyła wielkiej awarii magistrali ciepłowniczej przy ul. Dąbrowskiego. „Express Ilustrowany” informował, że 250 bloków pozabawionych ciepłej wody, woda te otrzymała 26 czerwca 1980 roku natomiast „Głos Robotniczy”, że w sobotę, 28 czerwca 1980 roku.

Ciepła woda zaczęła płynąć do 250 bloków w sobotę, ale dotarła tylko do 50 bloków, gdyż nowa awaria znowu zmusiła do renowacji magistrali przy ul. Dąbrowskiego.

Okazuje się, że nawet w Zakładzie Sieci Ciepłej dobrze nie wiedzą, kiedy i gdzie dotrze woda. W tej sytuacji najbliższym prawdy był jednak „Głos Robotniczy”.

ZYG.

Czy można hodować paprykę?

pyta „Express Ilustrowany”. Odpowiadamy: 1. Nie, nie można. Papryki bowiem nie hoduje się jedynie uprawia się. 2. Można paprykę uprawiać w naszych warunkach. Od kilku lat robi już tak znany reżyser filmów animowanych Ludwik K. wraz ze swoją uroczą małżonką, Aleksandrą K. Uprawiają paprykę w ramach hobby zarówno w polu, jak i na parcie okna i osiągnęli już w tym znaczne sukcesy. Listy zainteresowanych uprawa papryki prosimy kierować na nasz adres. Przekazemy.

R.O.LNIK



„I nie wiem właściwie za którego mam wyjść; Janek ma wprowadzić samochód, ale Władek za to posiada książkę dr Wiślickiej — „Sztuka kochania”!

Rys. Andrzej Adamowicz

Dziękujemy, posiadamy

„Express Wieczorny” donosił niedawno z niejaką dumą, że w LUBARTOWIE filia Zakładów im. Kasprzaka zwana ZAKŁAD WYTWORCZY MAGNETOFONÓW produkuje już 700 tysięcy magnetofonów i mechanizmów, a wśród nich „Thompsony B 303”.

Cieszy nas bezspornie fakt, że w LUBARTOWIE produkują magnetyfony, ale byłoby jeszcze bardziej szczęśliwie, gdyby to były dobre magnetyfony. Z kół zblizionych do „1/3” dorosła nam, że posiadają magnetyfony lubartowskiej produkcji i nie są nimi zachwyceni. Już w ramach gwarancji trzeba było wymienić różne części i kto wie, czy nie trzeba będzie dalej wymieniać innych.

Bardzo zatem prosimy zakłady w Lubartowie, aby obok ilości zwróciły też uwagę na jakość swojej produkcji.

U. Łan